



Czytaj na str. 2

Fot. Tomasz Białaszczyk

Tak dla rozwoju, tak dla CPK



Zobaczcie państwo na mapę linii kolejowych w Polsce dzisiaj, jakże mocno przypomina ona o zaborach sprzed ponad 100 lat. Chcemy przełamać tamtą klątwę. Chcemy zwiększyć możliwości przyciągania ruchu turystycznego, ruchu cargo, przedsiębiorców do Polski. To niesamowita szansa inwestycyjna.

Str. 4

Prochy na wzgórzach



Na pamiątkę bestialskiego mordu na wybitnych przedstawicielach polskiej inteligencji 4 lipca każdego roku odprawiana jest w pobliskim kościele msza św. w intencji pomordowanych a następnie pod monumetem gromadzą się Wrocławianie.

Str. 12

Złota pani ministrowa



Sędziowie mierzą rzut i ogłaszają wynik – 39,62 m, który jest nowym rekordem świata i zapewnia złoty medal olimpijski dla Polski. Pierwszy taki medal... Na maszcie korony stadionu powiewa biało-czerwona flaga.

Str. 22

Orzeł wyniesie ich **pod niebiosa**



TOMASZ
BIAŁASZCZYK

■ Niepoliczeni od 81 lat. Skazani bez wyroku za polskość. Zabijani tak, aby długo cierpieli. Ciała sprofanowano lub skazano na zapomnienie. Zaplanowane okrucieństwo od dziesięcioleci skutecznie zwycięża z zadośćuczynieniem. Żywi świadkowie spychani na margines. Ponownie „zabijani” przez polityków, dyplomatów, naukowców, elity... Zamilczani przez prawo międzynarodowe i polskie. Z ogromnym trudem upamiętnieni we wstrząsającym monumencie z brązu.

– *Świadomi jesteśmy, że tylko prawda może nas wyzwolić. Prawda, która niczego nie przemilcza, ale prowadzi do prawdziwego nawrócenia i pojednania* – stwierdził jeden z kustoszy pamięci o Wołyniu ks. Antoni Moskal podczas podniosłej uroczystości poświęcenia pomnika „Rzezi Wołyńskiej”. W niedzielę, 14 lipca 2024 roku, w Domostawie

w województwie podkarpackim spełnił się plan księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, rzeźbiarza Andrzeja Pityńskiego i samorządowca Zbigniewa Walczaka. Odświeżony został pomnik – skromne spełnienie marzeń polskich kresowian, ich potomków i wielu patriotów. Nie było miejsca dla niego w wielu polskich miastach. Gotowy na 100-le-



cie odzyskania przez Polskę niepodległości. Odświeżony pod lasem przy międzynarodowej drodze Via Carpatia. Ze wspomnianej wyżej trójki tylko Zbigniew Walczak dożył finału – podniosłej, wielogodzinnej uroczystości.

„Dzisiaj, wszystkie polskie serca, biją w Domostawie” – tak w mediach społecznościowych pisano o uroczystości, w której uczestniczyło tysiące Polaków, wspartych przez Polonusów, którzy ufundowali ten monument. Bowiem projekt profesora Andrzeja Pityńskiego został zamówiony przez Stowarzyszenie Weteranów Armii Polskiej w Ameryce z siedzibą w Nowym Jorku, aby upamiętnić ofiary ludobójstwa ukraińskich nacjonalistów OUN i UPA na polskiej ludności na Kresach Wschodnich II RP w latach 1939-1947. Uroczystość pod wschodnią granicą RP odbyła się w 81. rocznicę kulminacji masowych zbrodni na Polakach.

Jeżeli nie zabraknie determinacji planuje się, aby przy pomniku wybudować Ścianę Pamięci. Na dziesięciu blokach-ścianach, zostaną wypisane nazwy miejscowości, gdzie doszło do masowych zbrodni na Polakach. Wszystko to przy drodze ekspresowej łączącej kraje bałtyckie, Polskę, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię aż po Grecję.

Pomnik „Rzeź wołyńska” to 15-metrowej wysokości polskie godło narodowe. Na piórach umieszczono nazwy miejscowości, gdzie dokonano masakry. W środku w ażurowym ogromnym krzyżu dominują długie widły – nawiązujące do ukraińskiego tryzubca. Na nich ciało dziecka. Na dole są jeszcze cztery ▶



► sylwetki ludzi – matki, ojca i dwójki dzieci w płomieniach. Na wiejskich sztachetach nabite są kolejne ludzkie głowy.

Pod tym pomnikiem, przy ołtarzu polowym padły słowa oskarżające ukraińskie władze o fałszowanie historii. Zauważono brak polskich biskupów. Brakowało wpływowych polskich polityków. W tłumie dyskutowano o pobliskiej gra-

nicy, gdzie wraz z transportami wojskowymi trwa przerzut samochodów osobowych, zboża technicznego, klimatyzatorów.

W apelu poległych, odczytanim w trakcie uroczystości wołano: Niech z tego miejsca idzie w świat nasze wołanie: Nigdy więcej ludobójstwa, ni-

gdy więcej nienawiści, nigdy więcej wojny. Było to dopełnieniem słów ks. kaznodziei Antoniego Moskala, który prosił: Spraw Boże, aby wszyscy, którzy będą się modlili przy pomniku, pamiętali o tym, że nienawiść rodzi śmierć, miłość rodzi życie, a prawda prowadzi do Boga, który jest źródłem miłości i życia wiecznego.

Ryszard Czarnecki

RYSIE OKO



Wielbłądy Bidena i żołnierze ze Sri Lanki w służbie Rosji

Na szczycie NATO odmieniano słowo „Ukraina” przez wszystkie przypadki, ale zgodnie z moimi, publicznie wyrażanymi, przekonaniem zaproszenia Kijowa do Organizacji Paktu Północnoatlantyckiego nie wystosowano. Zachód werbalnie może być romantyczny, ale w praktyce jest bardzo realistyczny i chodzi po ziemi, a nie buja w obłokach. Skądinąd dedykuję tę prawdę polskim politykom, bo wszak Polska jest niewątpliwie geograficznie, ale także kulturowo, cywilizacyjnie i historycznie – częścią Zachodu. Ale akurat gdy chodzi o poli-

tykę międzynarodową i geopolitykę jakoś niespecjalnie chce przyjąć aparat pojęciowy i real-politik swoich bliższych i dalszych sąsiadów. Dobrze to, czy źle? Niech to już Państwo rozstrzygną.

Wołodimir Zełenski został przez Josepha Bidena nazwany Putinem, co skądinąd dowodzi, że pan Joseph coraz bardziej staje się „starym Joe”. Osłupiały Zełenski odparł, że jest lepszy od Putina, co, prawdę mówiąc, nie wypadło najlepiej, bo przecież Putin to „zło wcielone”, a prezydent Ukrainy – „uosobienie dobra”, a nie żaden „lepszy”. Tak przynajmniej słyszymy od parudziesięciu miesięcy, ale zaskoczonemu „Number One” z Kijowa nie przyszło do głowy tego powiedzieć. Trudno mieć o to do niego pretensję, bo jak można z wdziękiem odeprzeć pomyłkę, błąd – a może nawet takiego „wielbłąda” – ze strony prezydenta największego mocarstwa świata?

Opinia publiczna na świecie woli zwracać uwagę na lapsusy, delikatnie

mówiąc, amerykańskiego prezydenta wobec ukraińskiego prezydenta niż zajmować się ciałami młodych Ukraińców wyławianymi z rzeki Cisa, która stanowi naturalną granicę między Ukrainą a Rumunią. Nasi wschodni sąsiedzi przyskają do swojego południowego sąsiada przed wojskiem. Ba, ostatnio na potęgę uciekają też sami żołnierze, z mordowanymi dwuletnią walką bez żadnej rotacji.

Fakt: Kijowowi bardzo brakuje „siły żywej”, mówiąc językiem militarnym, więc uzupełniają braki przymusową branką, która mi, jako historykowi, kojarzy się – proszę wybaczyć – z rosyjską branką młodzieży polskiej tuż przed Powstaniem Styczniowym. Ukraina wcześniej potępiała w czambuł Rosję, że do armii wciela kryminalistów, a teraz robi dosłownie to samo. Rosjanie jednak swoje sieci poborowe zarzucają znacznie szerzej werbując żołnierzy z Cejlonu (teraz Sri Lanka), Indii, Nepalu czy komunistycznej Korei. Na dłuższą metę – źle to wróży Ukrainie.

Prawda jest ciekawa

Redaktor naczelny: Marta Morawiecka, **sekretarz redakcji:** Agnieszka Marczak.

Autorzy: Artur Adamski, Andrzej Bafalukosz, Tomasz Białaszczyk, Marek Bober, Piotr Chełstowski, Ryszard Czarnecki, Michał Drozdek, Piotr Gaglik, Grzegorz Gorczyca, Mieczysław Góra, Krystyna Jagoszewska, Mateusz Jerzmański, Zbigniew Makarewicz, Adam Maksymowicz, Andrzej Manasterski, Agnieszka Marczak, Maria Morawiecka, Marta Morawiecka, Jerzy Pawlas, Aleksandra Polewska-Wianecka, Wojciech Rohatyn Popkiewicz, Stanisław Srokowski, Beata Stragierowicz, Artur Waszkielewicz, Piotr Waszkielewicz, Waldemar Żyszkiewicz. **Skład:** Artur Waszkielewicz.

Wydawca: Instytut Kornela Morawieckiego. **e-mail:** info@prawdajestciekawa.pl; **www.prawdajestciekawa.pl**

Nr konta: 46 1090 2529 0000 0001 5664 1073. **Wsparcie:** na cele statutowe

Mateusz Morawiecki podczas konferencji prasowej 24.07.2024

Tak dla rozwoju, tak dla CPK

■ Były premier Mateusz Morawiecki wraz z b. pełnomocnikiem rządu ds. CPK Marcinem Horałą przedstawili raport oceniający nowe podejście do tej inwestycji ze strony rządu Donalda Tuska. Raport, który w rzetelny, solidny i syntetyczny sposób pokazuje różnicę pomiędzy pierwotnym projektem centralnego hubu, centralnego portu komunikacyjnego, a tym, co próbuje z tym robić obecny rząd.

Mateusz Morawiecki: *Dzisiaj mija 222 dni od powołania rządu Donalda Tuska. I te 222 dni charakteryzują się ogromną masą zmarnowanych szans, wielu zmarnowanych projektów. Dzisiaj skoncentruję się na tym, co jest największym marnotrawstwem, a mianowicie na podejściu rządu do CPK. Znaczenia tego centralnego portu – który powinien być największym, najważniejszym projektem w historii III Rzeczypospolitej, projektem absolutnie ponad podziałami politycznymi – trudno nie docenić i trudno to znaczenie przecenić.*

Poprzez centralny port komunikacyjny nie tylko podniesimy poziom naszego bezpieczeństwa, bo wysyłamy sygnał do Moskwy, sygnał do Rosji, że nasi sojusznicy bardzo szybko w razie najgorszego scenariusza przyjadą. Zdaniem firmy AT Kearney, która się specjalizuje w analizach tego typu projektów, bez CPK możemy stracić 50 do 70 miliardów złotych wartości dodanej brutto rocznie. Szanowni państwo, rocznie 50 do 70 miliardów, to nie jest analiza pana ministra Horały, to nie jest analiza Mateusza Morawieckiego, to jest analiza jednej z najbardziej renomowanych firm na świecie.

50 do 70 miliardów złotych, panie Donaldzie, na co pan czeka? Tak należałoby w tym momencie zapytać.

Podobnie jeden z najbardziej znanych polskich przedsiębiorców, pan Ryszard Florek uważa, że straty z tytułu braku realizacji CPK, to straty dla przedsiębiorców, około 20 miliardów złotych rocznie i ja się z nim oczywiście również zgadzam. Ale znaczenie Centralnego Portu to nie tylko wzmożenie, zwiększenie ruchu turystycznego, to nie tylko ruch cargo, czyli przejęcie części ruchu handlowego, za który dzisiaj płacimy Austriakom, Niemcom, Holendrom i innym państwom – dlaczego mamy im płacić, my

chcemy, żeby ta wartość dodana została tutaj w Polsce – ale to również zwiększenie szans inwestycyjnych.

Wiemy doskonale, że w ciągu ostatnich 8-9 lat udało się pokonać zmorę III Rzeczypospolitej – bezrobocie. Dlacze-

dzie zostawał, ceł, akcyzy. Nie będziemy mogli zrealizować wszystkich korzyści związanych ze wzrostem ruchu turystycznego. To, jeśli chodzi o znaczenie i tutaj w tym raporcie, który przygotowaliśmy zgodnie z obietnicą, znajdziecie państwo więcej tego typu szczegółów.

Ja chcę powiedzieć jeszcze o takich trzech pułapkach, w które obecny rząd poprzez tę swoją nową koncepcję tak zwanego megalopolis próbuje nas wciągnąć. Pierwsza pułapka to przesunięcie harmonogramu realizacji tego projektu. Przesunięcie, a tak naprawdę już strata czterech lat względem tego, co pan minister Horała zaplanował w bardzo skomplikowanym projekcie. Naprawdę w znakomity sposób zorganizował, zoperacjonalizował do momentu, do którego oddawaliśmy władzę koalicji rządzącej. Te lata przygotowań, które do tej pory zostały dobrze wykorzystane, mogą zostać zmarnowane. To jest ta pierwsza pułapka, w którą Tusk nas wciąga. Pokazuje jakieś swoje szczątki audytów, zresztą ośmieszili się tym samym, bo kilka audytów, które sami zlecali, zostało przecież anulowanych. A nie uwzględ-

nają audytów najbardziej renomowanych firm świata, czy analiz najbardziej renomowanych firm świata.

To przesunięcie czasowe jednocześnie zmniejsza atrakcyjność polskiego projektu. Dlaczego? Bo inni nie zasypiają gruszek w popiele. Otóż Rumunia ogłosiła już studium wykonalności dla wielkiego lotniska, wielkiego hubu komunikacyjnego pod Bukaresztem. To samo Viktor Orban, zresztą z tą firmą, z którą chyba, Marcin, ty podpisywałeś umowę, z francuską firmą – również podpisuje już teraz umowę na realizację hubu komunikacyjnego pod Budapesztem. Podobnie pod Wiedniem już realizo- ▶



Fot. Adam Guz/KPRM



▶ wane są prace związane z hubem komunikacyjnym. Szanowni państwo, co to oznacza? To oznacza, że Tusk daje czas, daje pole do popisu Orbaniowi, Rumunom, Austriakom, a nie realizuje tego projektu, który najbardziej może przysłużyć się Polakom w rozwoju Rzeczypospolitej. To jest ta pierwsza pułapka, pułapka opóźnienia. „Kick the can down the road” – jak mówią Amerykanie, czyli przesuniemy ten problem, gdzieś tam odsuniemy od siebie. Minie kilka miesięcy, Polacy się nie zorientują. To jest ich strategia, to jest strategia obecnego rządu.

Druga pułapka to pułapka zmiany układu komunikacyjnego, kolejowego układu komunikacyjnego. To jest niezwykle ważna pułapka. Otóż, szanowni państwo, czy w tym projekcie, który był projektem pierwotnym, zapytajmy się, czy duże, wielkie miasta, tam, gdzie rządzi Platforma Obywatelska, czy one straciłyby coś na tym projekcie? A skąd? Nic by nie straciły. Czy w tym nowym projekcie, nowym, poprawionym projekcie – zepsutym projekcie, należałoby rzec – małe miasta, mniejsze miejscowości, powiaty i gminy polskie stracą? Jak najbardziej tak. To znowu projekt podziału na Polskę A i Polskę B. Na połączenie tylko kilku największych aglomeracji, a pozostawienie Polski Wschodniej, Lublina, Rzeszowa, pozostawienie Katowic czy Górnego Śląska – w pierwotnych założeniach Tuska, w ogóle zapomnieli o Górnym Śląsku, potem coś pospiesznie flamastrem na mapie dorysowywali – ale to jest także zapomnienie i pozostawienie na boku szeregu polskich miast wojewódzkich, tych, które były wojewódzkimi do 1999 roku, ale nie tylko tych, także innych dzisiejszych miast wojewódzkich. Więc to jest kolejna wielka pułapka, z którą musimy walczyć. O tym piszemy w raporcie.

I myślę, że z tym się wiąże również to, co mówią politycy Platformy Obywatelskiej, jak wiceprzewodniczący Rafał Trzaskowski, który mówi, że nie potrzebujemy takiego megalotniska, że to jest megalomania, bo będziemy mieli – to cytata z Trzaskowskiego – lotnisko w Berlinie. A Donald Tusk mówił, że analizy, różne analizy wskazują na brak zasadności realizacji tego projektu. Oni dzisiaj pewnie tych sformułowań się wstydzą, bo fikówki, które wykonali, to są salto mortale, które wykonują cały czas, do którego zmusiliście ich państwo, wy, wszyscy Polacy, ci ludzie, którzy tutaj w skwarze stoją pod Sejmem i zbierają podpisy, którzy chodzą po ulicach różnych miast polskich i zbierają podpisy – TAK dla rozwoju, TAK dla Centralnego Portu Komu-



nikacyjnego. To wasza wielka zastuga. Niech ten projekt będzie naprawdę absolutnie ponadpolityczny, ponadpartyjny. Ale tych wypowiedzi nie wolno zapomnieć, bo one jeszcze parę miesięcy temu padały. Tusk chciał ten projekt zaorać. To dopiero wasza, drodzy rodacy, ostra działalność społeczna w internecie zmusiła go do zmiany stanowiska o 180 stopni.

I trzecia pułapka, o której chcę powiedzieć, to tak zwana rozbudowa lotniska Okęcie. Lotnisko Okęcie, które ma być rozbudowane kosztem kilku miliardów złotych, to po pierwsze oczywiście gehenna dla warszawiaków, to ogromne problemy komunikacyjne i tak dalej, ale z punktu widzenia analizy inwestycyjnej to również obniżenie szans na powodzenie tego wielkiego, wspaniałego projektu, jakim jest Centralny Port Komunikacyjny.

A więc miejmy na uwadze, drodzy państwo, przede wszystkim te trzy pułapki, które Tusk nam zgotował, przygotowując niby realizację tego projektu. Patrzmy im na ręce. Po to przygotowaliśmy ten raport. Po to postępujemy inaczej niż nasi przeciwnicy polityczni. Oni powołują komisje śledcze, oni nadużywają prokuratury, oni zmuszają prokuratorów do realizacji nieuczynnych działań pod dyktando polityczne, a my powołujemy Komisję dla Rozwoju. Nasz Zespół Pracy dla Polski, w ramach którego przygotowałem tę analizę, ten raport, jest zespołem dla rozwoju Polski. Jest zespołem, który pokazuje, że Polska ma szansę rozwijać się naprawdę bardzo szybko. Zresztą udowodniliśmy to podczas naszych rządów, że rozwój gospodarczy Polski był najszybszy obok

Cypru i Irlandii – a to raje podatkowe, jak wiadomo – wśród wszystkich krajów Unii Europejskiej. I to niezależnie od COVID-u, wojny na Ukrainie, kryzysu energetycznego i tak dalej. Abyśmy się dalej mogli tak szybko rozwijać, zdiagnozowaliśmy razem z panem ministrem Horałą, z całą Radą Ministrów, ogromną potrzebę szybkiej realizacji tego nowego układu komunikacyjnego. Przełamanie kłątwy zaborów.

Zobaczcie państwo na mapę linii kolejowych w Polsce dzisiaj, jakże mocno przypomina ona o zaborach sprzed ponad 100 lat. Chcemy przełamać tamtą kławę. Chcemy zwiększyć możliwości przyciągania ruchu turystycznego, ruchu cargo, przedsiębiorców do Polski. To niesamowita szansa inwestycyjna. Nie dajmy sobie wyrwać jej z naszych polskich rąk rządowi Donalda Tuska. Nie dajmy tego projektu zniszczyć poprzez jego skartłowacenie, poprzez jego okrojenie, poprzez dokonanie w nim takich zmian, które doprowadzą tak naprawdę do ośmieszenia tego projektu, do braku realizacji, do opóźnienia i do realizacji w takiej postaci, że Polska z tego nie skorzysta w takim stopniu, jak mogłaby skorzystać.

To dla nas Polaków wielka szansa. Aby to zrealizować, potrzebujemy się zjednoczyć. Dziękuję wszystkim siłom politycznym, niezwiązanym z Prawem i Sprawiedliwością. I dziękuję wszystkim siłom niepolitycznym, społecznym, że po prostu wywieramy presję, ogromną presję społeczną na rząd Donalda Tuska, aby zrealizować w pierwotnym kształcie Centralny Port Komunikacyjny i cały układ kolejowy. To wielka szansa dla Polski. Nie zmarnujmy jej. Dziękuję.

Zaorać państwo



JERZY PAWLAS

■ Zaledwie kilka miesięcy rządów nienawistników i nieudaczników pokazało, że ich ambicją jest sprowadzenie naszego państwa do peryferyjnej prowincji brukselsko-berlińskiej, administrowanej przez namiestników i kompradorów.

Podczas gdy rotacyjny marszałek sejmowy, a także posłowie pretendują do jednoosobowych trybunałów konstytucyjnych, powiększa się dziura budżetowa – a przecież 70 mld zł to dopiero początek. Mimo to w dziesięciu resortach wydano na nagrody ponad 20 mln zł. Podatnicy zapłacą też za PO-zemstę polityczną. Jak na razie komisje śledcze – kabarety żenady, lansu i hucpy – kosztowały 4 mln zł. Niemniej ponad połowa ankietowanych negatywnie ocenia występ postów-śledczych.

Tymczasem resort sprawiedliwości posługuje się bezprawiem, resort gospodarki – hamuje rozwój gospodarczy, ministerstwo klimatu – niszczy lasy i zaśmieca krajobraz wiatrakami, resort edukacji – totalnie ogłupia dzieci, a obrony – aresztuje żołnierzy walczących w wojnie hybrydowej, jako że nie wolno strzelać na granicy, bo migranci mogą być poszkodowani, poza tym można wywołać wojnę z Białorusią. Inwestycje prorozwojowe zatrzymuje się pod pozorem jakichś audytów. Opóźnia się rozbudowa centrum logistycznego w Małaszewiczach (chiński nowy jedwabny szlak), które w ciągu 10 lat miało przynieść 10 mld zł zysku.

Niezrażona tym koalicja PO-skomunistycznych mścicieli nie ustaje. Opozycyjni prawnicy rejestrują bezprawie i nieudolność administracji 13 grudnia, aby była podstawa do rozliczenia. Niemniej rządzący uzyskują 34,5% pozytywnych ocen sondażowych (negatywne – 32,5%). Z drugiej strony – gdy 60% ankietowanych jest za CPK, a 66% za elektrownią atomową – rządzący stanęli przed nie lada dylematem.

Przy deficycie po I półroczu na poziomie 70 mld zł (2023 było 12,7 mld zł) – mimo rządowych zapewnień – rozwój armii staje pod znakiem zapytania. Rządzący przekonują, że obronią nas sojusznicy, nie bacząc na historyczne doświadczenia. Tymczasem atakom migrantów na wschodniej i zachodniej granicy sekundują lewicowi aktywiści, napadający na pograniczników. Spółki skarbu państwa pod kierunkiem PO-fachowców odnoszą straty. Znane na rynku brukselskim polskie firmy transportowe muszą ustępować ukraińskiej konkurencji i regulacjom ekologicznym. Nie lepiej w handlu, gdzie

już zlikwidowano 1,6 tys. sklepów, a 5,2 tys. musiało zawiesić działalność z powodu kosztów energii i brutalnej konkurencji zagranicznych sieci handlowych. W tej sytuacji rządzącym nie pozostaje nic innego, jak tylko rozliczać PiS, nawet za cenę bezprawia i międzynarodowych skandali. Ktoś musi siedzieć. Im więcej bezprawia, tym więcej praworządności – „tak jak my ją rozumiemy”.

Patolegislatura

Nie bacząc na preferencje wyborców, lewicowo-liberalne ugrupowania konstruują egzotyczne koalicje, byle nie dopuścić prawicy do władzy. Takie kordony sanitarne niewątpliwie przeczą demokracji, ale – jak wiadomo – cel uświęca środki. Gdy powstał ruch społeczny „Tak dla rozwoju”, zainicjowany przez Marcina Horałę (PiS) i Paulinę Matysiak (lewica), to Klub Lewica zawiesił ją z hukiem na 3 miesiące w prawach członka. Anty-PiS ważniejszy, niż CPK.

Rotacyjny marszałek sejmowy to dziwoląg prawny – niemniej użyteczny, gdy trzeba zlikwidować PiS-owską opozycję. On też dwoi się, i troi, jeżdżąc po szkołach i strasząc dzieci prawicą. Tymczasem pod jego przewodnictwem debata sejmowa staje się zideologizowanymi pyśkówkami, pozbawionymi wartości merytorycznej. Amatorszczyzna marszałka degraduje sejm jako świątynię demokracji, czyniąc go żalosnym kabaretem na koszt podatników. Zresztą cenzurowany, skoro z wewnętrznej sejmowej telewizji usunięto sygnał TV Republika, nie pytając postów o zdanie.

Posłowie reprezentują społeczeństwo, które właśnie narzeka na służbę zdrowia, podwyżki cen energii i paliw, postępującą drożyznę – ale oni żyją jakby w innej rzeczywistości. Już to forsują depenalizację aborcji i jej liberalizację, już to rejestrowane związki partnerskie, które mają prowadzić do homo-związków i adopcji dzieci. Czasami ogarnia ich wzmożenie antyklerykalne. Próbuje zlikwidować Fundusz Kościelny, finansowanie obiektów sakralnych. Chcą ograniczenia lekcji religii, pozbawiając rodziców konstytucyjnego prawa do wychowywania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniami, bez porozumienia się ze stroną

kościelną. To oderwanie od realiów najlepiej obrazuje Klaudia Jachira, PO-seł. Jestem dumna, że głosowałam przeciwko reparacjom – oświadczyła po wizycie w Bundestagu. Z drugiej strony PO-słowie ulegają anty-PiS-owskiej histerii do tego stopnia, że przygotowali projekt ustawy likwidującej Akademię Kopernikańską (bo prowadzi działalność naukową nie-prawdziwą), co zresztą członkowie PAN przyjęli brawami.

Działalność prawodawcza PO-słów ograniczyła się do tego stopnia, że zadowolają się uchwałami i opiniami prawnymi. Nie przeszkadza im nielegalny p.o. prokurator krajowy. Nie myślą, jak skutecznie bronić granic, ale by ograniczyć uprawnienia prezydenta i bez wprowadzenia stanu wojennego używać wojska. Nie przeszkadzają im aktywiści buszujący na pograniczu, określający wojnę hybrydową jako kryzys humanitarny. Aktywiści mogą zawsze liczyć na pomoc stowarzyszeń, krajowych i zagranicznych. Dotuje ich także Fundacja Batorego (w tym roku ok. 0,5 mln zł, od 2021 roku – 1,5 mln zł). Mają pieniądze na propagandę – obrażanie i oskarżanie mundurowych – i bieżące potrzeby – ubiory dla wolontariuszy. Nie dziwi więc inicjatywa mieszkańców pogranicza – patrole obywatelskie kontrolują aktywistów, pomagają służbom.

Bezprawie stosowane

Łom, kajdanki, bezprawie, kłamstwo – to skuteczne w PO-rzeczywistości narzędzia i metody „przywracania praworządności”, które uzyskały aprobatę brukseleokratów. Nielegalna prokuratura zatrzymuje posła chronionego immunitetem – skandal międzynarodowy, ale nie unijny. A. Bodnar, minister sprawiedliwości, z trudem „odbudowuje” wymiar sprawiedliwości, w rozumieniu PO-rządu, oczywiście.

Niezależnie od tego, trwa proces dehumanizacji instytucjonalnej i medialnej ludzi wierzących. Chociaż 47% ankietowanych opowiada się przeciwko zakazowi eksponowania symboli religijnych, gospodarze miast występują w roli agresywnych ateizatorów. PO-litycy zachowują się jak ideologiczni bojówkarze. W końcu nie trzeba doradców i eks- ▶



► pertów, by inwektować przeciwników politycznych jako faszystów, w dodatku skrajnie prawicowych. Sędziowie ze stowarzyszenia Iustitia namawiają do bezprawia ministra sprawiedliwości. Chcą radykalnych działań – nie czekając na podpis prezydenta w przejmowaniu KRS (zablokować system informatyczny, dezaktywować karty dostępu, wstrzymać wypłaty diet). Po prostu przejąć KRS, jak media publiczne.

Tymczasem obywatele nawet nie zauważyli, że zamiast w państwie prawa, żyją w państwie prawników, żeby nie powiedzieć w państwie bezprawia. Rotacyjny marszałek sejmowy najpierw wygasał mandaty posłów – Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika – a potem żądał zrzeczenia się ich, gdy zostali wybrani do Parlamentu Europejskiego. Afera korupcyjna w bydgoskim sądzie wciąż czeka na wyjaśnienie, ale nikt nie ma – jak to się mówi – do niej głowy, gdy trzeba rozliczać PiS. Sędziowie Sądu Najwyższego, nominowani w PRL, uwalniają mordercę drogowego, bo nie uznają sędziów, powołanych przez prezydenta Andrzeja Dudę. Prokuratura chce ścigać sędziów z KRS. Czystki w sądownictwie polegają na wyłączeniu sędziów z orzekania. Sytuacja procesowa obywateli, dochodzących swych praw, nie ma żadnego znaczenia.

Migranci – w końcu przestępcy usiłujący nielegalnie przekroczyć granicę – spadli z zapory i ulegli kontuzji. Wyleczeni, wystąpili z roszczeniami wobec państwa polskiego. Białostocki WSA przyznał im rację. Mogą żądać odszko-

dowania w procesie cywilnym, a także – dzięki poradom aktywistów – zwrotu kosztów sądowych. Straż Graniczna przegrała. Gdyby odesłała migrantów na stronę białoruską – nie byłoby problemu.

Otwarte granice to szybka droga do otwartego społeczeństwa, które jest ideałem postępowego totalniactwa, tak jak rzecznikiem biznesu migracyjnego jest brukselski pakt migracyjny. Nic dziwnego, że dyżurne autorytety i eksperci od wdrażania bezprawia utrzymują, że agresywnego napastnika (migranta) trzeba odpierać tak, by nie zrobić mu krzywdy. To absurd i rozbijanie żołnierzy, ale wszystko jest zgodne z relatywizacją prawa, które ustępuje ideologii. Na takiej zasadzie policja – gdy na ulicach stolicy grasują eko-terrorysty – zatrzymuje protestujących kierowców. Ekologia ponad obywatelami.

Szkodnictwo i sabotaż

Tak jak zemsta zdegradowanych prokuratorów stała się użytecznym narzędziem w „przywracaniu praworządności” (czytaj – bezprawia), tak audyty stały się epidemią niszczącą gospodarkę. Bo antyrozwojowy PO-rząd rozpanoszył się na dobre, już to przyjmując brukselskie opresyjne regulacje proekologiczne, już to obsadzając firmy państwowe PO-fachowcami, w rezultacie czego ponoszą one straty. Czy to początek złodziejskiej prywatyzacji, czy udostępnianie naszego rynku zachodnim konkurentom – nie wiadomo. W każdym razie PKP Cargo już redukuje zatrudnienie,

a na tory wjeżdża czeska i ukraińska konkurencja. Zamiast CPK bezsensowna rozbudowa Okęcia i Modlina, zaniechania żeglowności Odry, portów, obsługa morskich farm wiatrowych przeniesiona na Bornholm.

Tak jak kiedyś niszczone przemysł cukrowy (wyprzedaż cukrowni za bezcen), tak teraz usiłuje się zniszczyć przemysł meblarski i gospodarkę leśną, dzięki zaciekłości aktywistów, którzy opanowali resort klimatu. W Poczcie Polskiej przybywa prezesów (już jest czterech), ale zwalnia się pracowników (już 10 tysięcy). W sytuacji zapaści gospodarczej resort infrastruktury poszukuje pełnomocnika ds. rozwoju ruchu rowerowego. Ryszard Petru, znany jako uczeń Leszka Balcerowicza, proponuje obniżenie składki zdrowotnej, na czym skorzysta każdy obywatel. Tymczasem brakuje pieniędzy na służbę zdrowia. Resort mówi o reorganizacji, co w praktyce oznacza likwidację szpitali, bądź ich prywatyzację. Jak na razie zarabiają tylko firmy pożyczkowe, bo ludziom nie starcza „do pierwszego”. Zadłużenie w tych firmach przekroczyło 8 mld zł. Sprzedaż „chwilówek” wzrosła o 100%.

Podczas gdy minister obrony apeluje do aktywistów, by nie ułatwiali migrantom przekraczania granicy, co jest przejawem bezradności i niekompetencji, to PO-rząd przygotowuje gościnny pobyt dla nielegalnych migrantów. Na ich podsyłanie do naszego kraju resort spraw zagranicznych nawet nie zareagował.

To nie sztuka zabić kruka...

O bezradności instytucji i zaradności rzeczników introdukcji

*... ale sztuka całkiem świeża
trafić z Bezdán do Nieświeża!*

Marszałek Józef Piłsudski

PROF. ZBIGNIEW
MAKAREWICZ



W ostatni wieczór czerwca, w telewizji Republika, w „Rozmowie z chuliganem” udało się panu Piotrowi Lisiewiczowi z Poznania zagadnąć pana Piotra Bernatowicza, też z Poznania, o subtelne problemy współczesnej twórczości artystycznej. Pan Bernatowicz zarządzał był swego czasu sztuką poznańskiego „Arsenału” (Biura Wystaw Artystycznych). Robił to tak sprawnie, że wielokadencyjny prezydent Poznania zwolnił go z tych obowiązków, podejrzewając „odchylenie prawicowo-nacjonal-

istyczne” promowanej tam sztuki. W ramach kulturowego i politycznego sporu „o wszystko” pan Piotr z Warszawy przeniósł Piotra z Poznania na Zamek Ujazdowski w Warszawie. I tak oto w 2020 roku został pan Bernatowicz mianowany przez pana Ministra Głińskiego, dyrektorem Centrum Sztuki Współczesnej. Ale dość niedawno, 24 czerwca 2024, na wniosek kilku Pań, jako „ludzi kultury”, został *odmianowany*, przed upływem siedmioletniej kadencji, przez pa-

nią Hannę Wróblewską Minister/kę Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Z pozoru wydawałoby się, że dzieją się te przetasowania w instytucjach kultury według zasady ujawnionej w gmachu Zachęty (Narodowa Galeria Sztuki) przez szamańskie rytuały „czyszczenia” po pisowskiej zarazie, czyli po sprowadzonych tam malarzach i rzeźbiarzach i po samym dyrektorzem Januszem Janowskim. Podejrzewam jednakże

Ciąg dalszy na str. 8 ►

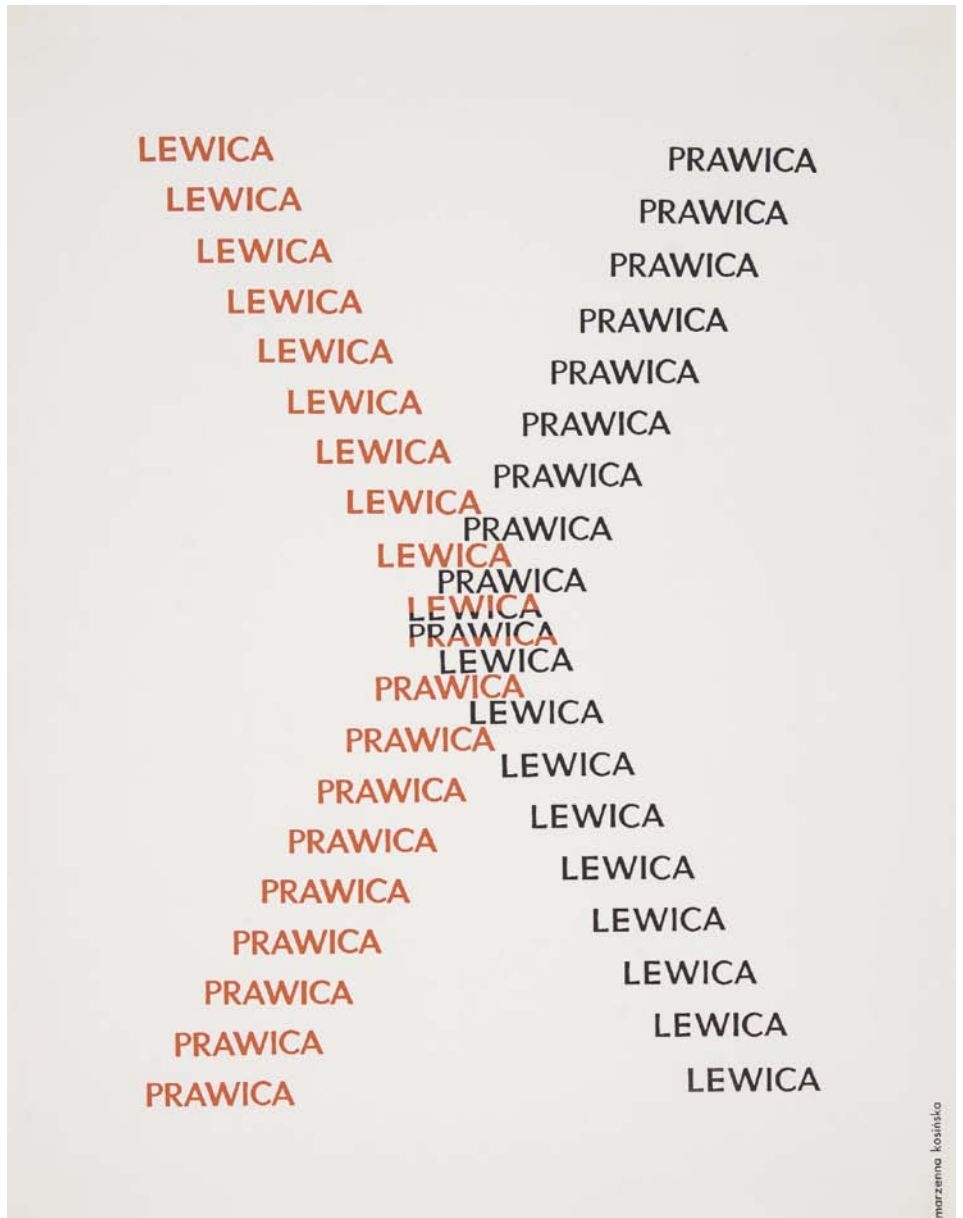
► istnienie głębszego sensu tych decyzji. Były tam eksponowane dzieła niosące niepokojące treści i tzw. wartości konserwatywne. Teraz będą tam dzieła nowoczesne w formie a socjalistyczne w treści. Ale nie zawsze tak bywało. Bo były tam także dzieła narodowe w formie a socjalistyczne w treści. Po latach okazało się, że jednak film – jak Lenin przykazał – jest najważniejszą ze sztuk, a sztukom plastycznym można „odpuścić” owe treści. I tak po 1956 roku pozostawiono w Polsce nieco swobody sztukom plastycznym – owej „wizualności wysoko zorganizowanej” (prof. Mieczysław Porębski). Zarówno Janowski jak i Bernatowicz dbali o tą „wysokość” organizacji materii wizualnej, ale z przesłaniem, treściami i motywami bywało różnie. I teraz coś się zmieni „w sztuce współczesnej”, ale coś pozostanie, jak chorągiewka na dachu ujazdowskiego zamku, ale już w innych barwach.

Mimo wszystko.

Były sobie trzy centralne instytucje kultury – Zachęta Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie (1949), Centrum Sztuki Współczesnej Zamek Ujazdowski w Warszawie (1985) i Centrum Rzeźby Polskiej w Orońsku na wsi pod Radomiem (1981) – powołane do zajmowania się sztuką współczesną. Po 1956 roku instytucje te służyły celom bardziej przyziemnym i w sposób mniej lub bardziej udany orientowały się na wartości estetyczne i artystyczne. Były z tym niekiedy kłopoty, bo nie są to wartości ściśle określone. Zawsze trzeba liczyć się z dość szerokim marginesem błędu, a więc szerzej niż wężiej „zarzucać sieci” na terenie obserwowanych zjawisk kultury plastycznej i jej pogranicza. Taka właśnie misja została zaproponowana i wynegocjowana przez Związek Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenie Architektów Polskich w końcu lat siedemdziesiątych dla nowej instytucji – odbudowywanego Zamku Ujazdowskiego. Ale takie cele byłyby zbyt skromne i co najmniej od 2000 roku mamy radykalny zwrot i wzlot i jak czytamy we własnej zamkowej deklaracji w internecie: **Zamek Ujazdowski to miejsce, w którym poprzez sztukę staramy się przeżyć świat.**

Nieźle!

Obecnie Zamek Ujazdowski pełni tę funkcję, którą pełnił i odgrywa rolę, którą odgrywał w skutek swoistej patologii, niejako na poboczu ustrojowych przekształceń w całej skali zmian w państwie polskim (II PRL) po 1989 roku. Wtedy to Światłe Idee światopoglądu naukowe-



Marzena Kosińska (1940-2024), Lewica – prawica, plakat. Zakład nad Fosą (Politechnika Wroclawska), Wrocław 1979.

go i społecznie wrażliwej lewicy utraciły swoje mocne nagłośnienia i możliwości demonstrowania nieustającej woli postępu. Trzeba było „sztandar wyprowadzić” i 29 stycznia 1990 roku uczestnicy XI Zjazdu PZPR przyjęli uchwałę o zakończeniu działalności partii.

Jednakże.

Trzeba było znaleźć miejsce i środki na dokończenie rewolucji, tym razem już tylko „rewolucji kulturalnej”. Kultura to było to, co naszych patriotów najmniej zajmowało, a w tym twórczość artystyczna – takie tam wydumane fanaberie neo-awangardy. I dla świętego spokoju oddano lewicy te marginalia. Zresztą zgodnie z najnowszymi trendami z Zachodu.

Obecnie mamy budżet i pod zarządem rządowym zespół ogrzewanych sal Zamku Ujazdowskiego do wykorzysta-

nia dla ... właściwie nie wiadomo... dla czego i dla kogo. Może dla sztuki? Ale „sztuka” jest „niedefiniowalna” i można takiemu celowi przypisać, co tam komu w duszy gra, a gra przede wszystkim „wola ludu”. I tak rozpoczął się marsz przez instytucje kultury. Kultury takiej, jak „my ją rozumiemy”. Tak jak w każdej innej instytucji kultury w Polsce (pomiędzy kilka skromnych wyjątków, o których na szczęście władcy „z budżetówki” nie wiedzą) jest tam jakaś kultura, bo propaganda to też jakaś kultura – plastyczna, muzyczna, czy literacka. I to ma być podawane dobitnie i jednoznacznie zrozumiałe. Kogo tam trzeba „opiłowywać”, a kogo chwalić – wiadomo! I oto mamy rząd – rząd gablot ustawionych przy części ulicy Szewskiej we Wrocławiu.

Mamy tu do czynienia z ważną tradycją, tak co do treści, zawsze postępowych, jak też form, z reguły nowoczesnych. Takie punkty – „durnostojki” ►



► – pojawiały się niegdyś, jak pamiętają najstarsi Wrocławianie, w różnych punktach miasta, a nie tylko przy ulicy Szewskiej. Nie było ich w galeriach sztuki i w muzeach. I to się właśnie zmieniło. Dzisiaj „durnostojka” jest powszechnie stosowaną formą, przestrzenną lub płaską, we wszystkich instytucjach kultury bez względu na ich ideową orientację – prawoskrętną czy też skręcającą w lewo. Autorom owych dzieł przydano miano „artystów”, a ich produkcji miano „sztuki”. I kasa też się zgadza.

Ale co z tą „sztuką”?! ---

Wymienia się często, jako cechy identyfikujące, takie doznania jak wrażenie szoku, skandalu, kontrowersji, co w mojej wschodniej naturze prowokuje odniesienia do zapisów Kodeksu Karnego, a nie teorii sztuki. Potrzeba tutaj raczej śledczych policji obyczajowej i kryminalnej, ale nie policji estetycznej (krytyka artystyczna). W takiej sytuacji niektórzy domagali się powszechnego immunitetu, a nawet konstytucyjnych gwarancji wolności dla każdego „działania” jeśli pochodzi ono z woli „artysty”, będącego tymże przez nazwanie się „artystą”. Wszakże po lekturze dzieła pana Mateusza Bieczyńskiego z Poznania (*Od zakazu do wolności. Historia prawnej pozytywizacji wolności sztuki*, 2018) oparowały mnie poważne wątpliwości. Dopelnia tego sprawa „kryzysu sztuki”. Czy to dostojny Ernst Gombrich (*O sztuce*, 1984), czy znerwicowany Donald Kuspit (*Koniec sztuki*, 2006) tak czy owak nie dają pewności. Nawet Władysława Tatar-kiewiczza „alternatywna definicja sztuki” (*Dzieje sześciu pojęć*, 1975) nie wydaje się wystarczająca. Nasz świat być może nie jest już dawnym „Światem Sztuki”.

Był taki świat! ---

Był to świat z ulokowanymi w nim interesami korporacji, państw, mediów i Bóg wie jeszcze czego i kogo, i potrzebował, rzecz jasna „Sztuki”. Toteż pojawiła się ona, na różne sposoby. Próby ujęcia „Pani Sztuki” podejmowali filozofowie, monarchowie, handlarze, wielcy i pomniejsi kolekcjonerzy. Taką próbę, chyba jedną z najbardziej udanych, podjął Albert C. Barnes, milioner i kolekcjoner amerykański, ale też i autor cennego dzieła, które zatytułował „Art in painting” (1925) i już sam tytuł „sztuka w malarstwie” wystarczył za wykład teorii, i wskazanie dla praktyki. Wielka kolekcja Muzeum Fundacji A.C. Barnes-a pozostaje wzorem mimo upływu lat. Było też otwarte w 1932 roku Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Łodzi z kolekcją dzieł europejskiej Wielkiej Awangardy.

Też wzór wielkiej klasy, chociaż prawie niemożliwy do kontynuacji przez wzgląd na działania Wielkiej Historii.

Prawdę powiedziawszy, nawet bez bezczelnych ingerencji Wielkich Twórców Wielkiej Historii, od najdawniejszych czasów mamy ze spotkaniem Pani Sztuki wielkie kłopoty. „Pani Sztuka” ma za nic dobre obyczaje i zjawia się niezapowiadana; raz w salonie malarstwa, kiedy indziej w obskurnej budzie jarmarczniego błazna, na koncercie w filharmonii, lub wprost przeciwnie w piwnicznej speluncie w czasie jakiegoś nocnego „jam session”. Może się zdarzyć, że saloniku literackiego w Krakowie przez kilka lat ta Pani nie odwiedzi, chociaż w tym mieście i w tym miejscu zbiera się nadzwyczaj kulturalne towarzystwo. Z tego to właśnie powodu „Pani Sztuka” nigdy nie ma przy sobie dowodu tożsamości i starannie odwraca uwagę „społeczeństwa”, przybierając zawsze postać inną od już widzianej. Może więc swobodnie zjawiać się tam gdzie jej najmniej się spodziewają. Krąży tak „od Sasa do Lasa” i wdaje się w najbardziej niestosowne romanse. Ta chimeryczność „Pani Sztuki” może nas mylić tak bardzo, że nie widząc Jej dłuższy czas w znanej nam postaci będziemy sądzić, iż gdzieś po drodze umarła i pochowano ją w bezimiennym mogile, co zresztą zdarzało się niektórym jej kochankom. Ale Ona jest wieczna, a życie nasze krótkie.

1. Coś o tym Świecie Sztuki wiedział Donald Kuspit, gdy zauważył: *W świecie postmodernizmu, jeszcze bardziej niż w świecie modernizmu, sterowanie i administracja (pseudo-dominacja, można powiedzieć) okazały się podstawą. (...) Wbrew ideologii, teorii i technice, w postsztuce przetrwały dzieciństwo i „psychotyzm” (...). Ale już nie są znakami prymitywnego autentyzmu.* (*Koniec sztuki*, Gdańsk 2006)

Mówiąc w konwencji innego języka; oto od jakiegoś czasu to, co oglądamy w takich wyróżnionych miejscach, nie tylko w kręgu prestiżowych galerii nowojorskich, zbyt często nie osiąga poziomu wytworu, o poziomie dzieła i dzieła sztuki nie wspominając. Ale jednocześnie to środowisko domaga się uznania tych przejawów, za sztukę. Wobec takiego *dictum* nie jest to już zmartwienie tylko właścicieli tychże galerii, bo pojęciem sztuki nie można, zdaniem Kuspita i moim skromnym, dowolnie szafować. W subkulturze środowiskowej *Wielkiej Awangardy* była obecna *pre-awangarda* (termin Umberto Eco). *Pre-awangardowa* aktywność oddziaływała pobudzająco na możliwości wychodzenia poza ustalone granice i reguły konwencji artystycznego postępowania, ale jej produkcje nie były jeszcze dojrzałymi konstrukcjami. Teraz służy

taki zabieg uprawomocnieniu eklektycznych popisów i jako argument do dowolnych przekształceń pojęcia sztuki. Można w ten sposób pod to pojęcie podstawić działania sprytnych socjotechników i politycznych aktywistów.

Nie jesteśmy właścicielami pojęć tak, jak możemy być właścicielami osobistej fortuny, którą mamy prawo roztrwonić. Ale próbuje się pojęcia tak właśnie zawłaszczać. Są one wszakże dobrem wspólnym tacińskiej cywilizacji, *żyją i rozwijają się*, jak pisał prof. Kazimierz Dąbrowski, a dzięki temu dają nam dzisiaj nieprzeciętne możliwości precyzyjnego opisu rzeczywistości ludzkiej – zjawisk kultury. W interesującym nas wypadku te dobrze ugruntowane i rozwinięte pojęcia dają możliwość wyodrębnienia i opisu zjawiska twórczości artystycznej w „sztukach pięknych” i w „literaturze pięknej” i nawet w filmie. Bo nie jest mało ważne, czy tutaj i teraz mamy szansę, aby uzyskiwać wciąż odnawianie formy w materii, jak to widział George Kubler. I tylko takim „rzemieślnikiem” przypisywał tytuł artysty.

Można spać spokojnie? ---

Jeśli z nowojorskiego punktu widzenia stan obecny w kulturze symbolicznej komunikacji może wyglądać na jakiś *koniec sztuki*, to może być tylko złudzenie perspektywy. To szczególnie przypadek starczego uwiadu środowiska, czy kilku środowisk zachodnich kuratorów i krytyków, ale nie *końca sztuki*, jako zaniku twórczości artystycznej w ogóle. Gdzie indziej, może akurat nie w Warszawie, chociaż jest i tutaj „Galeria Działań” pod patronatem spółdzielni mieszkaniowej, gdzie twórczość artystyczna ma się dobrze, chociaż nie dochodzi to do wiadomości tych zapyziałych wielkich „centrów sztuki”. *Społeczna historia sztuki pokazuje, że z reguły odbiorcy nie doceniają twórców innowatorów, którzy wyprzedzają swoją epokę; ilustruje to przykład Cypriana Norwida, Vincenta van Gogha, Wolfganga Amadeusza Mozarta.* (Anna Matuchniak – Mystkowska, *Sztuka*, „Kultura współczesna”, 5/2023, s. 119).

I tak oto sprawność amerykańskich obserwatoriów artystycznych zanika, a w ślad za nimi także polskich „centrów sztuki współczesnej”. Ich aparatura została rozmontowana. A gdyby nawet dało się ją na powrót skompletować nie ma już ugruntowanych teorii umożliwiających poprawny opis, wnikliwą analizę, wybór i interpretację uzyskanych danych. *Jest tak, jak gdyby cały język został zredukowany do punktowych znaków, nałożonych na formy, na których świat sztuki*

► *wyrył swoje inicjały*. Tak inny amerykański obserwator Max Kozloff postrzegł konceptualną transformację od sztuki do sztuki jako idei. (*The troubles with the art. as idea*, Artforum, September 1972). Ale teraz krytycy i znawcy, tak jakby astronomowie pozbawieni precyzyjnych narzędzi, nie zdołają już zauważyć nawet kolejnego wybuchu artystycznej „supernowej”.

Ich zmartwienie?

Tak. Ale nasze też. W 1990 roku, w nowych dopiero kształtujących się warunkach ustrojowych w Polsce, w czasie chaotycznych debat nad polityką kulturalną państwa i perspektywami rozwoju, lub uwiadu, twórczości artystycznej, jednym z poważniejszych głosów było przypomnienie przez Janusza Jaroszewskiego, wrocławskiego artystę malarza – prorocтва Stanisława Ignacego Witkiewicza, że sztuka *zniknąć miała wraz z zanikiem „uczuć metafizycznych”, a katastrofa ta miała być tym boleśniejsza, że nieunikniona i że społeczeństwo przyszłości nie miało być, we-*

dług Witkacego, świadome tego faktu (Znaczące gesty, Że – Magazyn kulturalny Wrocławia, nr 7-8, 1990).

Sens pojęcia sztuki.

Można nie cenić sobie ani piękna ani nowych jego form, można lekceważyć pracę, tych którzy się takiemu wybranemu przez siebie zadaniu poświęcają. Świat może nie przyjąć ich daru. *Bo artysta tylko wtedy godzi się żyć ze swej sztuki, kiedy jego dzieło kupuje się takim, jakie ono jest. To nawet wielka przygoda życia artysty, albowiem nie chodzi mu jak innym, rzemieślnikom ledwie, o zaspokojenie gustów publiczności, ale o to, aby kupiła ona dzieła zadowalające jego gust. Wymagania te są niemałe, naprzód dlatego, że wcale nie jest pewne, iż publiczność pozna się na wartości dzieła, zanim autor umrze z głodu.* (Etienne Gilson, *Szkoła Muz*, Warszawa 1965). Ale na tym właśnie polega wielka godność powołania artysty. Śmierć głodowa raczej nam nie grozi, ale śmierć cywilna, na którą układ artystyczny skazuje ludzi twórczych, jest naszą codziennością.

Proponuje się nam zamianę pojęcia sztuki na termin wyróżniający dosłownie już nie tyle *cokolwiek*, ale po prostu *byle co*, *byle słusznie politycznie zaangażowane*. Jest na to remedium – stara definicja sztuki jako formy. W polskiej tradycji artystą jest nazywany człowiek o nieprzeciętnych zdolnościach potwierdzonych oryginalnym dziełem o wyjątkowych walorach. Artystą jest ktoś o nadzwyczajnej wrażliwości estetycznej i moralnej, ktoś kto w swoim postępowaniu realizuje najwyższe ideały etyczne. Ci wyjątkowi ludzie, właśnie dlatego są wyjątkowi, że od czasu do czasu zdarza się im podejmować prace przez nikogo nie zamawiane, ani nie oczekiwane, bo też sami ostatecznego wyniku swojej pracy nie znają. Nie da się tego rozumienia pojęcia artysty zastąpić postacią rozwydrzonego chama, nawet gdyby taką propozycję *nie do odrzucenia* składał nam cały „układ artystyczny” z wszystkimi dyrekcjami wszystkich centrów i muzeów, ministerialnych gabinetów, redakcji i akademickich hierarchii.

Wrocław, lipiec 2024

Mama obroni...

Wywiad z Alicją Kuczyńską, ocalałą z rzezi Woli



ARTUR
WASZKIELEWICZ

Pamiętam na Woli tę stertę ludzi, niby zabitych, ale niektórzy trochę jeszcze się ruszali.... Zwieźli wszystkich do Parku Sowińskiego. Taka duża była ta sterta i podpalili to, a krew leciała do Wolskiej. Wolska to była wtedy wąska ulica z kocimi łbami. I ta krew płynęła stamtąd. Tam, gdzie jest teraz pomnik „Pollegli Niepokonani”, nawieźli tyle ziemi z prochami ludzi, że sięgała do drugiego piętra.

A jak wam się udało ocaleć? Podobno amunicja się skończyła tuż przed waszym domem?

Tego nie pamiętam. To co mi mama mówiła, to Woli nie wymordowali Niemcy. Ten dowódca, co potem był sądzony w Niemczech, wziął do tego Ukraińców – zabójców i innych kryminalistów, których wypuścili z więzienia i wzięli do wojska. Powiedział im, że dokąd dojdą to będzie ich. I puścili to na Wolę. Wtedy nie patrzyli na nic, mieli wybić wszystkich i ten teren wziąć sobie. Wola miała być ich. Oni mieli tu rządzić.

Jak już uciekliśmy i byliśmy w dolnym kościele, to zmienili dowódcę. Przyszedł i powiedział Ukraińcom, że trzeba było zabijać wtedy, jak żeście ludzi z domu wyprowadzali, a teraz, jak ludzie są już w kościołach i w schronach, to oni mają być wywiezieni do Niemiec do pracy. Mają być darmową siłą roboczą. I wtedy wszyscy z Woli do Pruszkowa szliśmy pieszo. Jeszcze na Fort Wola mieli nas po raz pierwszy gazować i coś tam nie wypaliło. Drugi raz to gdzieś przy moście obok Dworca Zachodniego. Tam też mieliśmy być zagazowani.

W Pruszkowie załadowali nas w bydłące wagony i pierwszy przystanek to był Breslau. Wtedy jak wypuścili ludzi z wagonów, to mama mówiła, że ludzie pili wodę, która była przeznaczona do lokomotyw. Bo wcześniej wagony były pozamykane, czyli siusiu, nie siusiu, wszystko było w tych wagonach. I pociąg cały czas jechał. Wolno, ale jechał, nie zatrzymywał się nigdzie.

Jeszcze mama mówiła, że trzeci raz chcieli nas zagazować. Tam była jakaś góra... Dwie tury zagazowali. Wte-

dy chcieli, żeby folksdojczy „alles weg”, żeby małżeństwa mieszane polsko-niemieckie się rozdzieliły. A mama mówiła, że ludzie się na to nie zgodzili. Zostali żona przy mężu, mąż przy żonie. I dali spokój, już przestali gazować.

Tego pociągu ja nie pamiętam. Ostatni obrazek, to tę stertę ludzi zabitych w Parku Sowińskiego i dopiero następny już w Niemczech w obozie pracy, jak mama mnie zostawia, mam pilnować pierzyny, mama idzie do pracy.

I ten Niemiec w tym mundurze, pamiętam, miał takie krótkie włosy, przychodził i coś mi dawał. Coś do jedzenia, do picia, jakąś konserwę. Potem mama mówiła, że ma przykrości, bo mówią, że ona śpi z nim, bo różne rzeczy przynosił. Na przykład mydła dla niewolników wtedy nie było, nie było można się umyć. Jak deszcz padał, woda z dachu leciała, mama wzięła to mydło, które dostała, namydliła siebie i mnie i oplukała pod tą wodą.

Gdzie był ten obóz pracy?





► W Leipce. Całe Niemcy były usiane obozami pracy. Wszędzie pracowali Polacy.

Ten Niemiec, który przynosił mi te smakołyki zapytał, czy ktoś pracował w gospodarstwie. Czy umie wydoić krowy i inne prace w gospodarstwie. I mama się zgłosiła. No to on powiedział, że weźmie mamę, ale mama powiedziała, że ma dziecko, a on powiedział, że jemu to nie przeszkadza.

I wziął nas i zawiózł samochodem do swojej rodziny.

Czy to było jego gospodarstwo?

Jego rodziców. On nadzorował ten obóz pracy. Mama mówiła, że najpierw obserwowali: kładli pieniądze, czy weźmie, czy nie weźmie. Tylko niektóre fragmenty pamiętam. Pamiętam jak mnie Niemka wozila na rowerze. Takie siodełko było z przodu. Sadzała mnie i jechałyśmy na rowerze pilnować pracowników – Polaków.

– Oni nie mieli dzieci?

Nie, nie mieli.

Pamiętam, że ci pracownicy coś sadzili. Wybierali do tego ładniejsze flance, a te takie słabsze, cieniutkie odrzucali. To ja poszłam, wzięłam sobie te odrzucone flance, siadłam na miedzy i palcem robiłam dziury i wsadzałam te flance, a Niemka pilnowała, żeby tego nie zaorali, to miało rosnać, bo to była moja praca. I one rosły.

I pamiętam, jak Niemiec na wieczór zawsze wyprowadzał mnie na chodniczek, pokazywał palcem w górę i mówił:

– Patrz tam wysoko światło się pali, tam mama jest. I ja biegłam na górę do mamy, a rano mama budziła mnie i odprowadzała mnie do Niemca.

A najbardziej był mamie wdzięczny, bo szedł front i oni chcieli się położyć na łóżku spać. A mama przeżyła wojnę w Warszawie i powiedziała, że trzeba się położyć na podłodze, bo jak będą strzelać, to kule przejdą przez ścianę i pozabijają i faktycznie – to ich ocaliło. Dlatego potem byli mamie wdzięczni.

W tym domu nie było tak, że pracownicy byli gdzieś osobno. Tam była kuchnia, oni tam gotowali i pamiętam taki długi stół i wszyscy tam siedzieli i Niemcy i Polacy i wszyscy razem jedli obiad. Ja tam się nauczyłam jeść surowe ciasto, bo mi to smakowało. Lubiłam słodkie i Niemka mi pozwalała to jeść.

Bo oni formalnie Panią zaadoptowali?

Tak, w Niemczech są papiery na to.

Poszła fama, że będą Polkom zabierać dzieci, a ja byłam blondynką o nie-



bieskich oczach, więc byłam zagrożona. Mama powiedziała, że jak jej zabiorą dziecko, to ona skończy ze sobą, bo nie będzie miała po co żyć. Nadzorca tego obozu pracy miał żonę z pochodzenia Polkę. I oni mnie adoptowali. I ten Niemiec pojechał gdzieś z żoną, nie było go dwa dni i od tamtej pory ja musiałam mieszkać u nich, a do mamy chodziłam tylko spać.

Jak się wojna skończyła, to mama chciała wracać, a Niemcy namawiali ją, żeby została, bo Warszawa praktycznie nie istnieje. Ale mama nie chciała zostać. Wtedy wyposażyli nas bardzo dobrze. Dali wózek z różnymi rzeczami potrzebnymi w domu, żeby jakoś żyć. Niemiec nam opłacił pociąg do Warszawy.

Co wam dali?

Oni nas wyposażyli we wszystko. Ja mam jeden widelec, który został, bo mama dawała mi nim jeść i nie był w wózku z resztą rzeczy.

A co się stało z resztą?

Dojechaliśmy do Pruszkowa i wpadli ruscy i wszystko zabrali. Została tylko pierzyna. Z pierzyną mama wyszła z Warszawy i z pierzyną wróci-

ła (śmiech). Z tą samą pierzyną. Natomiast mama się wtedy zlekła, że oni wyrzucili pierzynę razem ze mną, bo ja na niej spałam. Jak rusek rzucił pierzynę, to ona oparła się o drzwi wagonu. Miałam szczęście.

I pamiętam jak wróciliśmy. Róg Syreny i Wolskiej, mama siadła na kamieniu i zaczęła płakać. Co dalej robić? Gruzy, ruiny. Myśmy mieszkali przed wojną na Wolskiej 75. Wyszła znajoma mamy, która uciekła z transportu, w czasie marszu do Pruszkowa. Doszła do mamy, mama opowiedziała, jak wróciła z Niemiec. Zawołała mamę do jakiejś szopy, gdzie można było przenocować. Naprzeciwko był dom numer 66. Tam mama znalazła potem jakieś mieszkanie.

Kawałek podłogi jest, potem dziura, że łóżko można postawić na tym kawałku. Przyniosła mama dyktę, położyła. Wchodziło się tam, kładło się. Deszcz padał, to walił w dyktę.

Ale byłam z mamą, bezpieczna. Mama ochroni, mama obroni. Jak dziecko. No, później mamie dałam popalić. Niedobra byłam.

– Przecież ci kupiłam spódnice, matko jedyna, i już ją rozwaliała!

– To mnie bij!

Ciąg dalszy na str. 12 ►

► – Nie, nie, ja cię nie będę biła. Jeszcze cię bieda nabije.

Zawsze mama tak mówiła: ja cię nie będę biła, bieda cię nabije.

Jak wróciliśmy do Warszawy, to ja słowa po polsku nie umiałam. Tylko po niemiecku szwargotałam. Mama do mnie nieraz mówiła – cicho, nie mów teraz, w domu powiesz. Potem jakoś powoli się nauczyłam, przypominałam sobie.

Później było odgruzowanie. Pięciu lokatorów musiało załadować pełny wóz cegieł. Te cegły trzeba było oczyścić i załadować na furmankę. Tak się odbudowywało Warszawę. Z piwnic trzeba było powynosić gruz.

Mieliśmy kolegę gdzieś ze wschodu. Jego matka miała taki rosyjski akcent. Wołała go: – Mirak, chaliera, do domu choć, Mirak! – No to chcieliśmy jej dokużyć, bo ona ciągle go wołała i nie mógł się z nami pobawić. Poszliśmy na drugą stronę Wolskiej, nabieraliśmy trupich czaszek i położyliśmy jej pod drzwiami. Jak otworzyła te drzwi, to patrzyły na nią. Prądu wtedy nie było, tylko w domach były karbidówki albo lampy naftowe, to wyglądało to tym bardziej strasznie.

Jak mnie mama wtedy pogoniła.

– Macie to zanieść z powrotem, to są ludzie, oni tu zginęli. Ciało się rozkłada, właśnie tyle z ciebie zostanie po śmierci. Należy się szacunek...

No tak, a dzieci, jak to dzieci, bawią



się tym, co mają pod ręką. Mają kości, to bawią się kośćmi...

Pełno było wtedy tabliczek z trupimi czaszkami. Było pełno niewypałów. Gdzie nie było rozminowane, tam stały takie tabliczki.

Niewypałami też się bawiły...

Vis a vis cmentarza prawosławnego znaleźli chłopcy niewypał, rozkręcili i wybuchł. Było ich pięciu, czy sześciu, wszyscy zginęli. To pamiętam, tam była trakcja tramwajowa, na drutach strzepy wisiały. Ten widok był okropny.

Chodziłyśmy też na ruski cmentarz po fiołki. A tam był wampir. Taki rusek z brodą pilnował tego cmentarza, ale dla nas to był wampir, bo Polacy się golili, a ten chodził z brodą. Więc zbierałyśmy te fiołki i patrzyłyśmy, czy wampir nie idzie. Przyniosłam też do domu kiedyś stamtąd jedzenie, bo oni zmarłym na święta zanoszą jedzenie na groby. Mama mi kazała odnieść, ale ja nie wiedziałam, z którego to było grobu.

Ani jednego dnia nie żałuję, ani jednego. Jakoś mnie to wszystko nie przytłoczyło. Nie miałam potem żadnej traumy. Czy po mnie widać, że ja to wszystko przeżyłam?

Może to dzięki mamie?

Pewnie tak, z mamusią czułam się bezpieczna.

Pomordowanym profesorom lwowskim

MARTA MORAWIECKA



Prochy na wzgórzach

■ Adolf Hitler pierwszy postanowił zerwać sojusz niemiecko-rosyjski atakując 22 czerwca 1941 roku Rosję. Plan Barbarossa zaskoczył Stalina. Wojskom III Rzeszy wystarczył niespełna miesiąc na zajęcie terenów polskich okupowanych przez ZSRS.

Wkrótce po wkroczeniu do Lwowa gestapo aresztowało kilkudziesięciu profesorów Uniwersytetu Jana Kazimierza i innych lwowskich uczelni. Pod osłoną nocy 4 lipca 1941 roku zamordowano ich oraz ich bliskich na Wzgórzach Wuleckich nieopodal miasta. Eksterminację inteligencji polskiej kontynuowano w podobny sposób w Stanisławowie i Krzemieńcu. Realizując Generalplan OST Niemcy doskonale wiedzieli, że z narodu pozbawionego elit łatwiej będzie uczynić niewolników.

W drugiej połowie 1943 roku przegrzający na froncie Niemcy postanowili zatrzeć ślady kaźni. Ciała zamordowanych zostały wydobyte i spalone, a spopielone szczątki rozsypane po lesie. Niebagatelną rolę w ocaleniu pamięci o zbrodni odegrała prof. Karolina Lanckorońska, wybit-



Kazimierz Bartel

ny historyk sztuki, zaprzysiężony żołnierz AK oraz autorka przejmujących „Wspomnień wojennych”. Niezwykle interesujący artykuł na ten temat opublikował trzy lata temu na łamach 249. numeru Gazety Obywatelskiej dr Stanisław Bogaczewicz z wrocławskiego IPN.

Po wojnie i wyrzuceniu Polaków z Kresów Wschodnich ocalała kadra akademicka Lwowa w zdecydowanej większości przyjechała do Wrocławia. Na ruinach stolicy Dolnego Śląska zaczęto odbudowywać działalność naukowo-dydaktyczną i kulturalną miasta. Powołano uczelnię, z której wyłoniła się Politechnika Wrocławska i Uniwersytet. Wykład inauguracyjny został wygłoszony 15 listopada 1946 roku. Niespełna dwadzieścia lat później, w 1964 roku na skwerze pomiędzy budyn-



► kami Politechniki Wrocławskiej przy pl. Grunwaldzkim stanął poruszający do dziś Pomnik Pomordowanych Profesorów Lwowskich.

Na pamiątkę bestialskiego mordu na wybitnych przedstawicielach polskiej inteligencji 4 lipca każdego roku odprowadzana jest w pobliskim kościele msza św. w intencji pomordowanych a następnie pod monumentem gromadzą się Wrocławianie. W tym roku 83. rocznicę lwowskiej kaźni uczcili licznie przybyli wykładowcy, studenci oraz reprezentanci szeregu instytucji publicznych. Głos zabrał m.in. rektor Politechniki Wrocławskiej prof. Arkadiusz Wójs:

zostali zgładzeni dlatego, że ich intelekt uznano za groźny dla planów hitlerowskich Niemiec. (...) Tak naziści zamordowali wspianą akademię Lwów. Napis na pomniku martyrologii profesorów lwowskich brzmi – nasz los przestroga.

Poniżej fragmenty wypowiedzi Pawła Gancarza, marszałka województwa dolnośląskiego: Kresy wschodnie to jest ten obszar ówczesnej Rzeczypospolitej, który był doświadczony tragicznie wielokrotnie. Doświadczona była polska inteligencja, której dzisiaj składamy cześć, doświadczeni byli prości ludzie, chłopcy, doświadczeni byli bezbronni, często pozbawieni jakiegokolwiek obrony

militarnej – bo synowie, ojcowie Kresów wschodnich walczyli na różnych frontach. Przez Kresy przetaczały się fronty tak z jednej jak i z drugiej strony, zostawiając często tragiczne świadectwo, do którego jesteśmy zobowiązani jako dolnoślązacy. Tutaj we Wrocławiu, na ziemi piastowskiej, jesteśmy spadkobiercami tych tragicznych wydarzeń i to naszym obowiązkiem jest o tych wydarzeniach pamiętać, mówić i oddawać cześć tym, którzy oddali życie. Pamięć jest ważna, aby takie wydarzenia w przyszłości nigdy się nie powtórzały. Dziś czcimy pamięć o polskiej inteligencji. Za kilka dni 11 lipca, rocznica Krwawej Niedzieli, ludobójstwa dokonanego przez ukraińskich nacjonalistów na prostej chłopskiej ludności, która została również w gigantycznych ilościach wymordowana na Kresach Wschodnich. To jest święto państwowe, zachęcam państwo do tego, żeby tak samo jak dzisiaj składamy hołd inteligencji polskiej, pamiętać również 11 lipca o obywatelach Rzeczypospolitej Polskiej. Cześć ich pamięci.

Na koniec zabrał głos Adam Kiwacki, prezes zarządu Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich: Lwów był zawsze miastem wyjątkowym w naszej historii i w tym wyjątkowym mieście uczelnie były wyjątkowe a na tych uczelniach elitą byli profesorowie. Oni zginęli dlatego, że byli niebezpieczni dla najeźdźcy, dla wroga. Inteligencja zawsze idzie pierwsza, tak było później w wielu innych miastach, tak było w Stanisławowie. Ta rocznica czego nas uczy? (...) Żebyśmy pamiętali i jednocześnie nieśli przestroga. Mam króciutki cytat. Jan Nepomucen Kamiński, twórca teatru polskiego we Lwowie napisał: „nie przestańcie wy uczeni siać ziarna mądrości, choć się teraz nie rozpleni, wszędzie potomności”.



► Na zakończenie uroczystości rozległa się salwa honorowa a delegacje różnych organizacji i instytucji złożyły kwiaty pod Pomnikiem Pomordowanych Profesorów Lwowskich. Naszła mnie nagła refleksja. Ile straciła Polska wraz ze śmiercią tylko jednego z nich, profesora Kazimierza Bartła, wybitnego matematyka, rektora Politechniki Lwowskiej, polityka i kilkakrotnego premiera rządu II Rzeczypospolitej. W jednym z przemówień w czasach krótkiego pokoju podkreślał: Chcemy, aby pokolenia, które po nas przyjdą, mogły wskazać na nas jako na tych, którzy pracą swoją przyczynili się do wzrostu wielkości Polski”.

Zatem ile powinno wynosić odszkodowanie dla państwa i narodu polskiego za taką – eufemistycznie ujmując – stratę? Jak wycenić wartość milionów pomordowanych przez Niemców naszych rodaków? Jak wyglądałaby Polska, gdyby nie niemieckie i sowieckie kamienie młyn-



skie? Wreszcie najważniejsze pytanie. Dlaczego zbrodniarz – państwo niemieckie – usiłuje sam rozstrzy-

gać, czy w ogóle zechce jakkolwiek zadośćuczynić tak straszliwie wykrawawionej Rzeczypospolitej?

Czy świat zauważy kolejne polskie powstanie?

WOJCIECH
ROHATYN
POPKIEWICZ



■ Nigdzie na świecie nie jest tak...

Często polscy politycy wszelakiej maści używają takiej figury retorycznej, by podkreślić jak jest u nas źle lub, co rzadziej, lepiej niż gdzie indziej. Świat tymczasem mimo wysiłku globalistów jest ciągle tak zróżnicowany, że nie poddaje się ogólnym ocenom.

Miałem okazję odwiedzić czterdzieści krajów, a więc jedną piątą świata, by się o tym przekonać. To nie był świat z ekranu telewizyjnego, choć postała mnie tam z ekipą rodzima telewizja. Nie było katastrof, konfliktów, rewolucji. Czasem oglądałem je na ekranie telewizora w kiepskim hoteliku w jakimś kraju. Ziemia drżała rzadko. Mordercy nas oszczędzali. Złodzieje czasem próbowali okraść na zatłoczonej ulicy metropolii. Raz dopadł nas stan wyjątkowy w egzotycznym kraju. Zauważyłem jednak, że dzień powszedni na planecie był na ogół spokojny. Miliard ludzi w Indiach przemieszczało się w wielokierunkowym exodusie szukając pracy, ale nie skacząc sobie do oczu. Kościoły w Ameryce Południowej wypełnia-

ły się w niedziele, a Afrykanie wystawali w cieniu przy drogach w prowincjonalnych miasteczkach, czekając na lepsze czasy. Na plantacjach garbili się wieśniacy. W tym samym czasie kilkuset globalnych miliarderów śledziło giełdy lub denerwowało się bezpieczeństwem swoich rozsiansych po świecie rezydencji.

Wielkie światowe wojny opisywano w podręcznikach i pamiętnikach starszków. To nie teraz. To nie u nas. Pocięszano się, gdy docierały straszne wieści z Bałkanów, Ruandy, Bliskiego Wschodu. Środek globu jest zawsze tam gdzie mieszkamy na stałe. Gazety w Azji rzadko wspominają o Europie, w której moje pokolenie cieszy się względnym pokojem od kilkudziesięciu lat. Media w Ameryce Północnej żyją głównie Holocaustem Żydów, choć podobnych ludobójstw było na świecie wiele.

Liczba ofiar jest zaskakująca w każdym przypadku. To około 20 milionów Afrykanów, którzy zginęli w transportach niewolników do obu Ameryk. To blisko

kilkadziesiąt milionów Azjatów – ofiar kolonializmu francuskiego w 5 krajach Indochin. Co prawda na przestrzeni stu lat ich panowania, ale rozciągnięcie w czasie nie uniewinnia smakoszy żab. Jeszcze w połowie XX wieku wymordowali oni 80 tysięcy Malgaczy na Madagaskarze, zanim Charles de Gaulle, po dojściu do władzy, przyznał temu krajowi niepodległość.

Ponad wiek minął od wymordowania połowy narodu ormiańskiego przez Turków. Pamiętajmy, że na bezkarność tej zbrodni powołał się Hitler w przeddzień ataku na Polskę. Rozkaz mordowania także kobiet i dzieci powtórzył potem w czasie Powstania Warszawskiego. Nacjonalizm ukraiński określił ksiądz Tadeusz Isakowicz-Zaleski jako wrzód na tkance narodu. Wyhodowanie tego wrzodu było wspomagane przez tradycyjnie nam wrogie siły ościennych mocarstw. Kiedy w końcu pękł, załat krwawą ropą Kresy. Ofiar, głównie wśród Polaków, ale też Żydów, Ormian ►



► oraz prawych Ukraińców, było więcej niż w Hiroszynie oraz Nagasaki razem wziętych. I nie zginęli w jednej sekundzie, wprost przeciwnie. Byli nieludźko torturowani. Świat zwierząt nie zna takich okrucieństw.

Tak! To my, Polacy, należymy do nacji bardzo doświadczonych przez historię, choć nie wyjątkowej. Przebiegle tkana z incydentów odpowiedzialność polskiego narodu za zbrodnie ma odciążyć totalitarnych morderców. Ludobójcy z Zachodu i Wschodu chcieli wyplenić nasz naród do cna lub – w najlepszym razie – uczynić z nas niewolników. Rzeź Pragi 1794 powtórzyli po Rosjanach Niemcy piętego dnia Powstania Warszawskiego 1944, mordując kilkadziesiąt tysięcy cywilów na Woli. W ciągu sześciu lat okupacji zabijali przeciętnie trzy tysiące polskich obywateli dziennie, a więc tyle, ile jednego dnia zginęło w World Trade Center w 2001 w Nowym Yorku.

W Norymberdze z grubsza rozliczono zbrodniarzy hitlerowskich. Sowiecki prokurator chciał im też zaliczyć jako ludobójstwo Katyń. Jednak, gdy pięćdziesiąt lat później Rosjanie przyznali się do kaźni polskiej elity, odrzucili jednocześnie termin „ludobójstwo”. Oni tam pewnie zagłaskali Polaków na śmierć, podobnie jak dwa lata przed wybuchem wojny w 1939 roku, kiedy to na terenie dawnych województw przyznanych Sowiecom na mocy traktatu ryskiego zabito tradycyjnym strzałem w potylicę 111 000 mężczyzn, a ich rodziny pognano na Sybir.

Czemu o tym nie uczą w polskiej szkole? Opisał ten koszmar najwybitniejszy z polskich współczesnych historyków prof. Andrzej Nowak. Jego kolejne tomy **DZIEJÓW POLSKI** są orężem w zmaganiach z lukrowanym sprytnie, choć żenująco, „patriotyzmem zapomnienia”. Polska to normalność!

To jednak także fenomen bezustannego odradzania się narodu i państwa pomiędzy „młyńskimi kamieniami”. O przyszłości Polski zadecyduje jak zawsze aktywna mniejszość Polaków, a zwłaszcza polskiej młodzieży – pisze profesor Andrzej Nowak. Ta młodzież odkrywa na nowo sens walki o niepodległość polskich powstańców, Żołnierzy Wyklętych i w końcu „**SOLIDARNOSCI**”. Powstania na swój sposób trwają w naszej mentalności i wzmacniają naszą odrębność i odporność, zwłaszcza wobec wyzwań imperialnych. Czy dzisiejsza obojętność lub głupota większości Polaków nie zrodzi konieczności walki o niepodległość w całkiem niedalekiej przyszłości. Zagrożenie narasta jak zwykle z dwóch stron. Tak. Z Zachodu także.

Ze Wschodu mamy do czynienia z procesem odradzania się imperium,

które wpływało na losy Europy od kilku wieków, a na losy świata mniej więcej od stulecia. W tym czasie było inicjatorem kilkadziesiątu wojen. Ten ociężały i zapóźniony gospodarz twór państwowy, aby konsolidować się wewnętrznie musiał dokonywać ekspansji na zewnątrz. Polska opierała się jej do granic możliwości broniąc swej egzystencji. Gdy dwa totalitarne systemy w 1939 roku równocześnie dokonały agresji na nasz kraj, trwaliśmy w postaci Państwa Podziemnego nie mającego odniesienia w historii światowej. Nazizm niemiecki ujawnił w Polsce pełnię swojego wyafinowanego okrucieństwa. Szczył jak spalone zwłoki Hitlera. Czy na zawsze?

Zadajmy to pytanie, czy współcześnie nazizm jest nierealny? Jeśli trafi na podatny grunt społeczny, jeśli przyoblecze się w strukturę niedemokratyczne-

go państwa – wszystko jest możliwe. Oto przecież mieliśmy na rubieżach Ukrainy „sprawiedliwe” zabory terytorialne naruszające status quo w Europie. Klasyczną piątą kolumnę secesjonistów, prowokacje przebierańców, incydenty mające wstrząsnąć światem, a właściwie testujące jego obojętność. Gdy skutecznie przetestowano, wybuchła trwająca już ponad dwa lata wojna kinetyczna. To jednak nie wystarczy. Najgorsze jest powszechne poparcie dla wodza, który ma przywrócić imperium. **NAZILAND** potrzebuje bowiem euforii mas. Czy teraz ten proces wchodzi w fazę krytyczną?

Cieężko myśleć o kulturze, gdy na wielu polach – ze Wschodu i Zachodu – zagrożona jest cywilizacja. Jednak to kultura rodzi nadzieję.



ZATRZYMAJ ZIELONY ŁĄD

PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

w w w . p r e c z z z i e l o n y m l a d e m . p l

- ☠ Zniszczenie polskiego rolnictwa
- ☠ Drogi prąd i ciepło. Zakaz ogrzewania gazem i węglem
- ☠ Zakaz aut spalinowych. Gigantyczne opodatkowanie paliw
- ☠ Przymusowe dostosowanie budynków do „zeroemisyjności”
- ☠ Upadek lub ucieczka przemysłu. Bezrobocie
- ☠ Drożyzna w sklepach. Ogromne koszty transportu

PODPISZ WNIOSEK O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁĄDU

NSZZ
SOLIDARNOSCI

NSZZ RI
SOLIDARNOSCI

PIOTR GAGLIK



Piękne Łużyce, sprawiedliwe, przyjazne!

■ Tytuł powyższy jest polskim tłumaczeniem pierwszego wersu hymnu narodowego Serbołużyczan, najmniejszego narodu słowiańskiego, którego etniczne terytorium znajduje się w Saksonii i Brandenburgii, czyli całkowicie w granicach Niemiec. Jeden naród, który używa dwóch języków – górnołużyckiego i dolnołużyckiego.

Stary Budziszyn, Skala Chrobrego



Tym razem wybrałem się na miłe mi Łużyce pątniczym szlakiem św. Jakuba (camino). Przekroczyłem Nysę na staromiejskim moście w Zgorzelcu, nieopodal kościoła św. Piotra i Pawła, posadowionym na starym słowiańskim grodziszczy plemienia Milczan. Stamtąd udałem się dalej na zachód. Sforsowałem urokliwe i miejscami jeszcze dzikie wzgórza okolic Königshain, z pięknym starodrzewem i granitowymi ostańcami. Dalej – podążając jakubową ścieżką wśród lasów i pól – było łatwiej, bo przeważnie z górki.

Szlak do Budziszyna tożsamy jest z obecnie turystyczną trasą nawiązującą do średniowiecznej Drogi Królewskiej (Via Regia), która wiedzie aż spod pogranicza ruskiego, gdzie styka się ze starodawnym szlakiem idącym na wschód z Przemyśla przez Lwów do Kijowa. Via Regia w kierunku zachodnim prowadzi

przez Kraków, Wrocław, Zgorzelec, do Lipska. Oczywiście po drodze są Górne Łużyce.

Dopiero po przekroczeniu zachodniej granicy niemieckiego powiatu zgorzeleckiego tuż przed miasteczkiem Weißenberg/Wóspork pojawiają się nazwy serbołużyckie. Będę tu konsekwentnie podawał nazwy łużyckie lub spolszczone. Zgodnie z konstytucją i ustawami saksońskimi w gminach, gdzie tradycyjnie zamieszkują Serbołużyczanie, urzędowe nazwy miejscowe, w tym ulic oraz m.in. instytucji publicznych podaje się w dwóch językach: niemieckim i górnołużyckim. Oczywiście według uznania właścicieli występują też dwujęzyczne nazwy gospód, sklepów, zakładów usługowych. Na rynku w Wósporku poza drogowskazami nie zauważyłem jednak dwujęzycznych nazw i nie spotkałem żadnego Serbołużyczanina.

Nieco dalej na zachód, w Gröditz/Hrodzińco, zatrzymałem się nieopodal pałacu w schronisku dla pielgrzymów i zwiedziłem przełom rzeczki Ljubawskiej Wody (Löbauer Wasser), przebijającej się przez granitowe ostańce. Od ponad 80 lat to jeden z bardziej znanych rezerwatów przyrody we wschodnich Niemczech, zwany Gröditzter Skala (Hrodziścńska skala). Nazwa i położenie miejscowości nawiązują do potężnego podwójnie otoczonego wałem ziemnym grodziszcza słowiańskiego plemienia Milczan. Ślady są do dziś obecne w pałacowym parku.

Generalnie natknąłem się na kilka starych, dobrze oznakowanych grodzisk słowiańskich. Na katolickich Łużycach na południe od Budziszyna szczególnie wyróżnia się Wotrow/Ostro (po polsku Ostrów). Tam podobno założył swój pierwszy ośrodek misyjny św. Be- ▶



Miklavs



Pomnik św. Cyryla i Metodego

► non. Chrzcił pokojowo w XI wieku Serbołużyczan i nauczał w ich języku. Serbołużyczanie są mu wdzięczni, odwiedzają jego sarkofag w katedrze monachijskiej. Natomiast w samym Budziszynie naprzeciwko Starego Miasta po drugiej stronie Sprewy, na wzgórzu zwanym Horodyszczem (Protschenberg), użytkowanym od ponad 200 lat jako cmentarz ewangelicki, pochowani są m.in. „budziciele” tutejszego narodu słowiańskiego: Serbołużyczanin Jan Arnošt Smoler oraz jego rodzina spokrewniona z innymi działaczami narodowymi młodszego pokolenia.

Dziś w Budziszynie procent ludności słowiańskiej jest niewielki, ale tu koncentruje się życie polityczne i kulturalne Serbołużyczan. Chodziłem śladami słowiańskiej obecności. Wstąpiłem m.in. do Domu Serbskiego, gdzie mieszczą

się narodowe instytucje serbołużyckie (w tym związek Serbów Łużyckich Domowina). Jak zawsze zająrzałem na rynek, do katedry budziszynskiej św. Piotra, następnie do siedziby kapituły. Natomiast nieco bliżej zamku budziszynskiego (Ortenburg) odwiedziłem słynną katolicką serbołużycką nekropolię narodową na terenie ruin średniowiecznego kościoła św. Mikołaja.

Odszukałem też relief węgierskiego króla Macieja Korwina na zamkowej wieży bramnej a nieopodal odnalazłem tablicę poświęconą Zygmunтови Jagiellończykowi, który zanim w 1507 roku został polskim królem, był krótko margrabią łużyckim. Niedaleko też znajduje się świeżej daty pomnik poświęcony rocznicy pokoju budziszynskiego z 1018 roku. Warto zwiedzić Budziszyn – to piękne miasto!



Na Ortenburgu, w budziszynskim Serbskim Muzeum, gdzie byłem nieraz, długo rozmawiałem z dyrektorem muzeum panią Krystyną Bogusz, pochodzącą z Chróścic (Crostwitz/Chróścicy), z bodajże najbardziej obecnie serbołużyckiej miejscowości na katolickich Łużycach. W Chróścicach odwiedziłem kościół, cmentarz parafialny, gdzie większość pochowanych to Serbołużyczanie, a na wzgórzu nad rzeczką Satkulą (może też dawne grodziszczce) dwa pomniki poświęcone polskim żołnierzom poległym w kwietniu 1945 roku.

Podobnie jak w Chróścicach, tak i w Worklecach (Räckelwitz), Wotrowie, Radworju (Radibor) i Njebjelcicach (Nebelschütz), tj. w parafiach katolickich Łużyc, mówi się jeszcze publicznie w języku słowiańskim. O charakterze tych miejscowości świadczą też nagrobki na miejscowych cmentarzach. Niestety już rzadko słyszy się słowiańską mowę w Serbskich Pazlicach (Wendischbaselitz) czy w Panćicach-Kukowie (Panschwitz-Kuckau). Przemawiają nagrobki...

Ta ostatnia gmina to miejscowość pielgrzymkowa i siedziba klasztoru cysterek (Marienstern/ Marijina hwězda). Na pobliskich klasztornych błoniach w kwietniu 1945 roku niemieccy hitlerowcy w bestialski sposób wymordowali



Nysa Łużycka w Zgorzelcu

► wali setki rannych polskich żołnierzy. Należy podkreślić, że to dzięki temu klasztorowi, gdzie przez dziesiątki lat opatkami były Czeszki ze znamienitych rodów, w tym z królewskich Przemyślidów – zachował się wśród poddanych katolicyzm i przetrwał żywioł słowiański. Stąd też pochodzi najbardziej znany współczesny polityk łużycki, katolik, Stanisław Tillich, wieloletni minister, a w latach 2008-2017 premier Saksonii. Jedyny Serbołużyczanin, który tak wysoko zaszedł w polityce niemieckiej.

Niejako w środku katolickich parafii łużyckich znajdują się dwa ważne, niemal symboliczne obiekty. Ośrodek edukacji św. Benona, na terenie pałacu i budynków podworskich w Smochćicy (Schmochtitz) oraz przejmujący pomnik Roku Świętego na (nomen omen) wzgórzu Stróża, wybudowany w 2000 roku przez Serbołużyczan w podzięce za chrystianizację tej ziemi przez apostołów Słowian, świętych Cyryla i Metodego. Autorem układu rzeźb i monumentu jest polski artysta-rzeźbiarz z Lublina, Dobrosław Bagiński.

W sumie muszę dodać, że podążając drogą św. Jakuba odwiedziłem głównie katolickie Łużyce. To ta mniejsza terytorialnie część Łużyc. Ale w tych dziewięciu parafiach Serbołużyczanie dzięki wierze i tradycji trzymają się jeszcze mocno. Tu nie przeszkadzają krzyże przydrożne przy drodze publicznej. Znajdują się również na posesjach prywatnych przed domami. Towarzyszą im pieczołowicie odrestaurowane napisy w języku serbołużyckim. W Radworju pozostawiono kamienny krzyż na budynku, gdzie mieści się siedziba samorządu gminnego.

W mojej pielgrzymce, podczas której odwiedziłem kilkanaście kościołów (również ewangelickich), dotarłem na zachodni skraj serbołużyckiego obsza-



Klasztor Marienstern

ru etnicznego – do Kamieńca. W Kamjenc/ Kamenz mieszka niewielu przedstawicieli pierwotnej ludności słowiańskiej. Miasto jest dwuwyznaniowe, ale wyjątkowo propolskie. Większość informacji turystycznych podawana jest również w języku polskim, co było dla mnie niespodzianką. Spotkałem się z miłym przyjęciem również ze strony ludności niemieckiej. Z uznaniem chcę odnotować postawę pani Moniki, rodowitej Niemki, która rozmawiała ze mną łamaną polszczyzną i doskonale знаła język górnołużycki. Mówiła po niemiecku tylko wówczas, gdy o to poprosiłem, bo nie rozumiałem kontekstu. Modlitwę pielgrzymią odmówiła dla mnie po górnołużycku. Sporo ciekawostek łużyckich przekazałem dwóm parom niemieckich pielgrzymów z Drezna i Monachium.

Na zakończenie pewna anegdota. W trakcie wykonywania w Worklecach

zdjęcia tablicy domu rodzinnego działacza narodowego, proboszcza Michała Hornika, zaczął mnie młody Serbołużyczanin i oczywiście po górnołużycku próbował wyjaśnić kim był Hornik. Ja odpowiadałem po polsku. Gdy okazało się, że jestem jakubowym pielgrzymem z Polski i należę do Towarzystwa Polsko-Serbołużyckiego we Wrocławiu, oddalił się na chwilę, by wyjąć z bagażnika skody puszkę piwa. Podarował mi ją. Sądziłem, że to piwo niemieckie lub czeskie. Okazało się, że Tyskie dystrybuowane przez firmę niemiecką.

Zaskoczony tym dowiedziałem się przy okazji, że pije tylko polskie piwo bo... lepsze. Serbołużyczanin dodał: Nie piję niemieckiego piwa, aby się nie niemczyć, wolę polskie. Cóż, jak w tytule: Rjana Łužica, sprawnja, přečelna...



Łużycka szkoła w Chrościach



Zarząd gminy Radwor



Wywiad

STANISŁAW SROKOWSKI



Sami nie wiecie, co posiadacie!

■ Ze znakomitym reżyserem, Stanisławem Melskim, twórcą rewelacyjnego spektaklu „Szewcy” Witkacego w Teatrze Polskim we Wrocławiu – rozmawia Stanisław Srokowski

Stanisław Srokowski: W recenzjach ze słynnego już spektaklu „Szewcy” Witkacego w Twojej reżyserii w Teatrze Polskim, pisałem m.in. „Oto we Wrocławiu objawił swój dużej miary artystycznej talent twórczy ceniony dotychczas aktor, Stanisław Melski (...), pokazując ostry reżyserski pazur. I zarysował nim najważniejsze pola dramaturgiczne tego dzieła”. Minęło już trochę czasu od premiery, a także od ostatniego spektaklu, który widziałem. Interesują mnie dalsze losy przedstawienia. Bowiernie widowisko to zasługuje na jak najszerszą widownię. Głównie na widownię młodego pokolenia. Chciałbym spytać, czy nasza wrocławska szkoła aktorska, zamówiła specjalny spektakl dla swoich studentów i wykładowców, by pokazać znakomitą inscenizację i odbyć nad nią dyskusję? Jeśli tak, jaka była reakcja studentów? Jeśli nie, dlaczego tak się nie stało. Proszę o szerszy komentarz.

Stanisław Melski: Premiera spektaklu „Szewcy” w mojej reżyserii miała miejsce na scenie dużej Teatru Polskiego we Wrocławiu 28 października 2022 roku. Zagraliśmy do tej pory około 30 spektakli, ale na żadnym spektaklu nie zauważyłem większej publiczności złożonej ze studentów wrocławskiej AST. Nic mi też nie wiadomo, by władze AST zwróciły się do dyrekcji Teatru o zagranie spektaklu specjalnie dla szkoły i przeprowadzenie po nim dyskusji. Aczkolwiek byłoby to ciekawe doświadczenie dla mnie i aktorów grających w tym przedstawieniu. Spektakl już ma swoją legendę i swoich widzów, którzy obejrzeli je wielokrotnie. Ma także znakomite recenzje oraz entuzjastyczne opinie, na przykład wybitnego witkacologa, prof. Janusza Deglera, czy reżysera pierwszych „Szewców” wystawionych w Teatrze Kalambur w latach sześćdziesiątych, Włodzimierza Hermana.

We Wrocławiu zainteresowanie krytyki było znikome, może stąd brak zainteresowania ze strony AST. Poza Twoją recenzją ukazały się jeszcze dwie recenzje autorów z Wrocławia, zresztą bardzo dobre. Wszystkie inne także znakomite ukazały się na portalach krajowych i zagranicznych.



To dziwne, że wrocławska szkoła aktorska nie zdobyła się na specjalny spektakl, by przedyskutować ze studentami, choćby środki artystyczne występujące w tym znakomitym widowisku. To może przedstawienie było zapraszane przez inne polskie teatry w kraju?

Nie, nie zapraszano nas do żadnego teatru ani w kraju, ani za granicą. Nie był nim zainteresowany żaden festiwal teatralny, a jest ich w Polsce sporo. Nawet kuratorzy Festiwalu Klasyki Polskiej w Opolu nie wyrazili zainteresowania moim spektaklem. Widocznie nie spełniał postawionych wymogów. Wystarczy, że przedstawienie powstało w Te-

atrze Polskim we Wrocławiu, a zamyka mu się drogę na teatralne „salony”, bo ten teatr nie istnieje i nie może w nim powstać nic wartościowego, ponieważ dyrekcja i artyści pracujący w Teatrze Polskim nie spełniają wymogów nowoczesnego, progresywnego teatru, a przecież tylko taki jest wartościowy. A gdzie osławiona tolerancja i różnorodność poglądów w sztuce? W wyrażaniu myśli? A poza tym podjęliśmy się pracy w teatrze, który został zniszczony przez ówczesne władze. A według pana Mieszkowskiego, zwanego w kulisach dyrektorem „Słońce”, jako że sam o sobie mówił: „Teatr to ja”, według więc niego jego teatr był najlepszym teatrem w Polsce, a nawet na świecie! Dodajmy, że jako dyrektor w poprzednich latach zaangażował się w politykę, a to nie za bardzo służyło teatrowi, a poza tym skończył mu się kontrakt i musiał odejść. Wokół teatru panowała zła atmosfera, podgrzewana przez ludzi związanych ze sztuką postdramatyczną i postmodernistyczną, co pogłębiało ostracyzm środowiska teatralnego wobec dyrektorów i aktorów, którzy mimo wszystko przygotowywali nowe spektakle w tym teatrze.

Porozmawiajmy przez chwilę o sprawach ogólniejszych. Obserwujesz polski teatr, polską kulturę. Jakie pozytywne zjawiska byś wymienił?

Przyglądam się polskiemu teatrowi, a nawet uczestniczę w jego tworzeniu. Skromnie, bo skromnie, ale jednak. Dobre w polskim teatrze jest to, że jeszcze trwa, że ma widzów. Może nie tylu, co w czasach swojej świetności, ale składa się na to wiele czynników, ekspansja różnych mediów i propozycji internetowych, młodzież szukająca przyjemności, szybkich bodźców, nastawiona konsumpcyjnie, ule-

Ciąg dalszy na str. 20 ►

► gająca chwilowym modom i pędowi współczesnej cywilizacji. Teatr jest jeszcze różnorodny, choć mainstream dąży do tego, aby był liberalny, by realizował tylko treści lewicowe, a więc tzw. postępowe i by sam był w takim znaczeniu tzw. teatrem postępowym. Takie myślenie o teatrze zabija sztukę i ideologizuje to, co wielokrotnie sprawdzono w przeszłości. Teatr nie znosi rewolucji. To cud, że jeszcze istnieje w Polsce w takiej formie.

Jakie byś widział rady, wskazówki?

Prawdziwa sztuka powinna porządkować rzeczywistość. Widz winien przeżyć katharsis po wyjściu z teatru; dobrze jest, jeżeli widz chce być lepszym człowiekiem. Dla mnie sztuka ma propagować wartości, a te fundamentalne nie zmieniły się od wieków.

Czy polski teatr znajduje się w fazie poszukiwań nowych rozwiązań artystycznych? Czy raczej powiela schematy lub idzie za bieżącą modą światową? Jak to widzisz?

To jest różnie. Zależy od wielu czynników. Teraz reżyserzy i twórcy teatru mają możliwość zobaczenia tego, co się dzieje na scenach europejskich i światowych. Część z nich korzysta z tego

i przenosi, często bezkrytycznie, treści i formy tego, co tam jest modne i wyznacza trendy. Wielu jednak polskich reżyserów korzysta z polskiego dorobku i choć przyjmuje pewne dokonania (zwłaszcza techniczne), to jednak próbuje kultywować to, co w polskim teatrze było i jest najlepsze. Teatr polski zawsze miał dobrą markę na świecie i pewnie tak zostanie. Niepokoi jednak ogromny wpływ różnych ideologii, które zubożają treści przekazywane ze sceny. Dużo by o tym mówić.

Czy śledzisz procesy kulturowe w naszym kraju? Masz jakieś spostrzeżenia, oceny, wątpliwości?

Śledzę jak każdy, któremu nieobojętne jest to, co się dzieje w kulturze. Wychowany na dobrej literaturze i dobrym teatrze, pracując z wybitnymi reżyserami, wiedziałem, że dobre odczytanie dramatów napisanych dla teatru jest często bardziej uniwersalne i aktualne niż to, co dzisiaj proponują młodszy (dużo mądrzejsi od autorów) progresiści. Tak jest również w innych dziedzinach. Nie jestem wizjonerem, jeśli chodzi o rozwój kultury. Wielokrotnie wieszczono jej upadek, ale tak się nie dzieje. Jest ona inna, może nie tak ambitna, bardziej otwarta na masowość, a przede wszystkim zależna od gustów

publiczności. A ponadto musi przynosić zyski. Ambitniejsze projekty, spektakle, filmy, książki muszą być dotowane. Inaczej ich nie będzie w przestrzeni publicznej.

Od lat nie obserwuję we Wrocławiu jakiegoś nowego, oryginalnego zjawiska artystycznego, rzecz jasna, poza „Szewcami”. Czym to możemy tłumaczyć? A może się mylę? Może coś umknęło mojej uwadze?

To miłe, że tak pytasz, ale trochę się dzieje. Nie jestem wnikliwym obserwatorem i uczestnikiem życia kulturalnego Wrocławia, chociaż mogę ręczyć, że znajdzie się wielu recenzentów i bywalców, którzy nie podzielą twojego zdania.

I na koniec – jakie masz plany tworzyć? Rozchwytują Cię po „Szewcach”?

Z moimi planami to jest tak: Mogę je mieć i mam, ale jeśli chodzi o ich realizację, jestem zależny w stu procentach od dyrektorów teatrów. Czy jestem „rozchwytywany”? Nie zauważyłem.

Dziękuję. Ufam, że znowu zobaczę nowy dobry spektakl w Twojej reżyserii. I tego Ci życzę. Bo na to zasługujesz, a my widzowie również!

PIOTR CHEŁSTOWSKI



Igrzyska

■ Od 26 lipca trwają w Paryżu XXXIII Letnie Igrzyska Olimpijskie, po raz trzeci rozgrywane w stolicy Francji. Zapewne jak zawsze, oprócz osiągnięć sportowych, będzie to również pokaz nowych technologii. Ciekaw jestem, jakimi nowinkami zaskoczą nas organizatorzy i czy zostaną ustanowione nowe rekordy?

Jak wyglądały dokładnie wiek temu VIII Letnie Igrzyska Olimpijskie, w których po raz pierwszy wystąpiła polska reprezentacja, opisał w 39. numerze PJC prof. Krzysztof Sobiech w felietonie „Sto lat temu w Paryżu...”. Należę do tych kibiców, u których podczas wielkich wydarzeń sportowych odżywają wspomnienia, jak to „drzewniej” bywało i co się zmieniło. A przez te sto lat zmieniło się wiele. Ograniczę się do kilku wspomnień, które znam z autopsji.

Za czasów mojej wczesnej młodości kluby sportowe same wychowywały sobie zawodników w każdej dyscyplinie. W piłce nożnej już od trampkarzy i juniorów do seniorów. Transfery z innych klubów nie były praktykowa-

ne. Jedynym wyjątkiem były kluby wojskowe, głównie Legia Warszawa, które czasami powoływały do wojska wyróżniających się zawodników z klubów cywilnych. Oczywiście musieli oni być w wieku poborowym. Przed zasadniczym meczem odbywał się tzw. przedmecz, w którym w skróconym czasie grały drużyny juniorów klubów, rozgrywających mecz zasadniczy. Może warto by ten zwyczaj przywrócić? Bramki wówczas też były dwie, ale piłka już nie była taka okrągła. Miała w środku dętkę, do której przez wentyl wdmuchiwało się powietrze. Po zatankowaniu należało go wcisnąć do środka i zasznurować rzemieniem otwór długości około 10 cm. Z tego powodu piłka nie

miała idealnie okrągłego kształtu. Pecha miał zawodnik, który piłkę przyjmował na główkę, a ta akurat trafiła go tym rzemieniem. Ból podobny do uderzenia piłką w męskie podbrzusze.

Początkowo wszyscy zawodnicy byli amatorami, zajętymi w tygodniu normalną pracą. Trenowali zwykle raz lub dwa razy w tygodniu. Później to amatorstwo zaczęło być fikcją. Na przykład większość piłkarzy Górnik Zabrze miała lewe etaty w różnych kopalniach, o których wiedzieli tylko tyle, że istnieją. Podobno w Elwro, gdzie pracowałem przez wiele lat, było na etacie kilku piłkarzy Śląska Wrocław. Po ich wynagrodzenia przyjeżdżał zawsze jakiś oficer. Wyróżniający się za- ►



wodnicy mieli etaty w kilku zakładach. To, że byli amatorami, było taką samą prawdą, jak to, że po wojnie Amerykanie zrzucili nam stonkę ziemniaczaną, a po katastrofie smoleńskiej ziemia została przekopana na głębokość ponad metra. Ale nadal do zmiany klubu dochodziło raczej rzadko.

Zainteresowanych, jak w latach pięćdziesiątych wyglądały rozgrywki piłkarskie, odsyłam do filmu o legendzie polskiej piłki nożnej – Gerardzie Cieślaku. Scena, w której zawodnicy jadą na mecz ligowy do innego miasta odkrytym ciężarowym samochodem, siedząc na drewnianych ławkach, zrobi na każdym wrażenie. Jest tam więcej takich scen. I jeszcze jedna różnica, jaką zauważam między piłką nożną lat mojej młodości, a dzisiejszą. Obecnie jest, eufemistycznie mówiąc, bardziej kontaktowa.



Za komuny, gdy zawody odbywały się w jakimś kraju zachodnim, dodatkowo w skład polskiej ekipy wchodził jeszcze ubecy do pilnowania sportowców, aby któremuś nie przyszło do głowy pozostanie na Zachodzie. Podobno na dwóch sportowców przypadał jeden ubek. Podobnie było w bratnich krajach socjalistycznych. Już sam kontakt z zachodnim obywatelem narażał każdego na podejrzenie o szpiegostwo. W tej sytuacji wszystkich ciekawiło, jak sobie poradzi Rosja z organizacją olimpiady, która miała się odbyć w 1980 roku w Moskwie. Okazało się, że dla systemu totalitarnego nie stanowi to problemu.

Na czas olimpiady w mieście pozostawiono tylko ludzi sprawdzonych, niepewnych wywieziono. Moskwę otoczono jakby kordonem sanitarnym. Do ostatniego dnia olimpiady miasto było wyludnione. Dzieci i młodzież studencką wysłano na kolonie pionierskie i obozy, a wszelki wątpliwy element otrzymał skierowanie na wczasy bądź wielodniowe komandirówki (delegacje). Na trybunach zasiadała wyselekcjonowana publiczność. To była gigantyczna operacja wyekspediowania ze stolicy

ponad miliona, a może i więcej osób. Niedowiarków odsyłam do książki Tadeusza Olszańskiego *Osobista historia olimpiad*.



Moskiewska olimpiada przypominała mi mistrzostwa Europy w boksie, które odbywały się w 1953 roku w Warszawie. Organizatorzy mieli podobny problem. Było bardzo prawdopodobne, że bokserzy „papy” Feliksa Stamma pobiją cały kontynent, a Rosjan – jak by powiedział Stefan Wiechecki (ps. Wiech) – przede wszystkim. Ruiny Stolicy w 1953 roku, których było znacznie więcej niż domów, krzychały o pomoc do nieba. Władza miała świadomość, ilu rodaków w czasie wojny wymordowali Niemcy i Rosjanie. Wiedzieli, że w hali zapewne nie będzie widza, który w czasie wojny nie straciłby kogoś bliskiego. Po rusyfikacji kraju nastroje antyradzieckie były tak silne, że obawiając się trudnych do opanowania demonstracji, postanowiono dobrać odpowiednich kibiców poprzez: rozdanie części biletów wśród aktywistów partyjnych, wprowadzenie do hali zorganizowanych przez Wydział Propagandy partii 400-osobowych grup aktywistów partyjnych i zetempowskich, rozprowadzanie ulotek ośmieszających „anty-internacjonalne” reakcje publiczności, oświetlanie sali w czasie walk reflektorami (Piotr Godlewski, *Sport w Polsce na tle politycznej rzeczywistości lat 1944–1956*, Poznań 2006).

Należę do tych, chyba już nielicznych, którzy pamiętają pierwszy wyścig kolarski na trasie Warszawa – Praga w 1948 roku (od 1952 Warszawa – Berlin – Praga). Zapamiętałem etap z metą na cieszyńskim rynku. Co kilkanaście minut na metę wpadała jakaś grupka kolarzy. Po godzinie, kiedy zaczął zapadać zmrok i kibice sądząc, że już po wyścigu, zaczęli rozchodzić

się do domu, organizatorzy zaapelowali, aby jeszcze poczekali, bo nie wszyscy zawodnicy dojechali. Później, gdy w Wyścigu Pokoju wzięli udział Hindusi, wprowadzono limit czasu, który wykluczał tych, co się w nim nie zmieścili. Janusz Zaorski tak wspominał ten wyścig: *W latach młodości z okna rodzinnego mieszkania przy al. Niepodległości w Warszawie oglądałem Wyścig Pokoju. To był 5. kilometr. Najpierw widziałem peleton, a dopiero po 10 minutach jechali Hindusi w turbanach. Niedaleko nas była budka z piwem i oranżadą, więc oni się zatrzymywali, by napić się oranżady, i jechali dalej. To były emocje! Nie to co obecnie – kilkanaście minut i po wyścigu.*



Jeszcze przed powstaniem III RP wszystko w sporcie zaczęło się zmieniać na wzór zachodni. Transfery zawodników stawały się normą, dopuszczono nawet możliwość angażowania zawodników klubów zagranicznych, przy czym w drużynie nie mogło występować więcej niż chyba trzech obcokrajowców.

Pamiętam taki transfer – jeden z pierwszych w Polsce – Murzyna z USA do drużyny koszykarskiej Wisły Kraków. Było to w latach, kiedy Wisła Kraków była jedną z najlepszych drużyn w tej dyscyplinie, a o telewizji kolorowej społeczeństwo wiedziało tyle, że taką ludzkie na Zachodzie już oglądają. Długo on sobie u nas nie pograł. To, co go spotkało, było dla niego sporym szokiem. Jego rozterki opisywała nie tylko lokalna prasa. Zakwaterowano go w jakimś hotelu w Krakowie. Kiedy włączył telewizor i zobaczył czarno-biały obraz – natychmiast reklamował, żeby nie było na niego, że zepsuł. Kiedy chciał się napić soku grejfrutowego, powiedziano mu, że może go kupić jedynie w sklepach Pewex-u. Tam poinformowano go, że za złotówki nic w tym sklepie nie dostanie, za dolary też nie – trzeba mieć bony. Aby je zdobyć, musi w banku wymienić dolary. Później się dowiedział, że gdyby te dolary wymienił na złotówki nie w banku, a u osoby prywatnej, czyli u cinkciarza, to zrobiłby świetny interes.



► Czarnoskóry koszykarz, choć bardzo rozgarnięty, nie mógł się zorientować „co tu jest grane”. Takich „atrakcji” w naszym pięknym kraju nad Wisłą spotkało go wiele. Opuszczając PRL zapewne pomyślał: *Polska to dziki kraj*. Janusz Korwin–Mikke zauważył jeszcze inną różnicę między naszymi krajami: w Stanach czerwonych przechowują w rezerwach, my – w parlamencie.

A propos koszykówki, w ogólniaku grałem w klubie. Najwyżsi zawodnicy mieli około 185 cm, rzadko więcej. Dzisiaj taki wzrost mają ci najniżsi rozgrywający, tzw. playmakerzy. Jako wrocławianin kibicowałem markowej drużynie Śląsk Wrocław. Do czasu. Kiedy w nowym sezonie zobaczyłem, że połowę drużyny, łącznie z trenerem, wykupił Anwil Włocławek, przestałem się emocjonować. Potwierdza to moją tezę, że

w nowym systemie ustrojowym, kto ma kasę, może mieć wszystko.

Nie wiedzieć czemu prestiż osiągnięcia wysokiego wyniku sportowego jest tak duży, że niektóre kraje uciekają się do przyspieszonego naturalizowania cudzoziemców. Polska nie jest tu wyjątkiem. Kiedy w końcu 2005 roku PZPN zniósł ograniczenia liczby piłkarzy spoza Unii Europejskiej, pewien biznesmen zafundował Pogoni Szczecin całą drużynę kopaczy z Brazylii. Niestety, trzeciordernych. Mimo dużej kasy sukcesu nie osiągnął.

O wyższości systemu socjalistycznego nad kapitalistycznym miały świadczyć m.in. sukcesy sportowe. Aby je osiągnąć, stosowano różne środki dopingujące. Coś na ten temat mogliby powiedzieć byli „sportowcy” NRD. Za czasów mojej młodości o stosowaniu dopingu nikt nie słyszał. Dziś, jak mówią złośliwi, zawodnicy dzielą się na przyłapanych i tych, u których dopingu jeszcze nie wykryto. Stosowany jest on przez zawodników prawie wszystkich krajów, mimo że oficjalnie zabroniony, a jego zwalczaniem zajmuje się WADA – Światowa Komisja Antydopingowa. Specjaliści różnych dziedzin intensywnie pracują nad opracowaniem takich środków, których nie potrafiłyby wykryć znakomicie wyposażone laboratoria tej instytucji.

Czego dziś się nie robi dla sukcesu, mężczyźni potrafią nawet zmienić płeć. W tym miesiącu podpisałem apel organizacji CitizenGo do członków Międzynarodowego Komitetu Olimpijskiego o zakazanie udziału „transpłciowych” mężczyzn w kobiecych konkurencjach. Niestety, spekuluje się, że w przyszło-

ści prawdopodobny jest doping, polegający na ingerencji w kod genetyczny zawodnika oraz podawanie zmodyfikowanych organizmów, np. bakterii, które powodowałyby wzrost hormonów. Pytanie, czy idea sportu nie została wypaczona, czy rzeczywiście sport to zdrowie, jest – przynajmniej dla mnie – pytaniem retorycznym.

Kiedyś kobiety nie uprawiały wielu dyscyplin sportowych, uważanych za typowo męskie, na przykład sporty walki, rugby, boks czy skoki narciarskie. Z czasem zaczęło się to zmieniać. Jak równouprawnienie, to równouprawnienie. Dziś prawie nie ma już dyscyplin, w których nie brałyby udziału panie.

Pierwotna idea propagowania aktywności fizycznej poprzez sport ustępuje na rzecz jego komercjalizacji. Współczesny sport zaczyna być ściśle powiązany z biznesem. W 1972 roku Wojciech Fortuna za zdobycie złotego medalu na olimpiadzie zimowej w Sapporo otrzymał dwieście (!) dolarów. Ile dziś zarabiają najlepsi zawodowcy? Głowa boli. Robert Lewandowski, według hiszpańskiego „Sportu”, miał zarobić w trzecim sezonie gry w barwach FC Barcelony 32 mln euro. Zarobki naszej najlepszej tenisistki, Igi Świątek, po turnieju w Paryżu w połowie 2024 roku, osiągnęły blisko 31,5 mln dolarów.

Mimo tak głębokiego skomercjalizowania się sportu życzę sobie oraz Czytelnikom PJC radości z oglądania prawdziwej olimpijskiej rywalizacji oraz satysfakcji z liczby polskich medalistów.

Złota pani ministrowa



PROF.
KRZYSZTOF
SOBIECH

■ Dnia 6 listopada 2018 roku z okazji Narodowych Obchodów Setnej Rocznicy Odzyskania Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej prezydent Andrzej Duda uhonorował pośmiertnie dwudziestu wybitnych Polaków Orderem Orła Białego. Obok Marii Skłodowskiej-Curie, Romana Dmowskiego, Ignacego Daszyńskiego, Władysława Reymonta, Stefana Żeromskiego, Kornela Makuszyńskiego i Wojciecha Kossaka – wyróżniona została pierwsza polska złota medalista olimpijska (Amsterdam, 1928) – działaczka sportowa, malarka, poetka i dziennikarka, bohaterka akcji ratowania złota ze skarbca Banku Polskiego – Halina Konopacka-Matuszewska.

Dama Orderu Orła Białego urodziła się 26 lutego 1900 roku w Rawie Mazowieckiej jako najmłodsza córka Jakuba Konopackiego i Marianny z Raszkiewiczów. Po przeprowadzce rodziny do Warsza-

wy jako studentka filologii Uniwersytetu Warszawskiego zapisała się do sekcji lekkoatletycznej AZS Warszawa, której wierna była przez całą karierę sportową. Z pierwszych wspomnień smukłej

dziewczyny (181 cm wzrostu) z wyglądu nie przypominającej miotaczki, warto odnotować jej wypowiedź: „Wzięłam do ręki dysk, leżał wygodnie w dłoni, nie wydawał mi się ciężki, już wów- ►



Halina Konopacka, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe-Sportowcy dla Niepodległej.

► czas wiedziałam, że w konkurencji tej będę odnosiła sukcesy”.

Pierwszym trenerem młodej dyskobolki był Francuz Maurice Baquet. To dzięki niemu w 1926 ustanowiła w czasie II Światowych Igrzysk Kobięcych w Goeteborgu nowy rekord świata w rzucie dyskiem – 37,71m. Oprócz koronnej konkurencji rzutu dyskiem, Halina Konopacka uprawiała także rzut oszczepem, pchnięcie kulą, skok wzwyż i skok w dal, w których to konkurencjach zdobyła 26 tytułów mistrzyni Polski.

Zbliżały się Igrzyska IX Olimpiady w Amsterdamie. Przed ich rozpoczęciem Konopacka ustanowiła rekord świata w rzucie dyskiem oburącz. Prawą ręką rzuciła dysk na odległość 37,67 m a lewą 27,71 m, co razem dało wynik 65,38 m. Uzyskany rekord był lepszy od poprzedniego o 78 cm.

Nadszedł oczekiwany dzień 31 lipca 1928 roku, dzień finału rzutu dyskiem kobiet. W drugiej kolejce nasza reprezentantka zawsze występująca w uszytym

własnoręcznie czerwonym berecie po wykonaniu z wielkim rozmachem szybkiego obrotu rzuciła dysk w okolicach czterdziestego metra. Sędziowie mierzą rzut i ogłaszają wynik – 39,62 m, który jest nowym rekordem świata i zapewnia złoty medal olimpijski dla Polski. Pierwszy taki medal... Na maszcie korony stadionu powiewa biało-czerwona flaga.

Sportowe osiągnięcia Konopackiej wzbudziły powszechny zachwyt i podziw. Uważana za „królową pod każdym względem: formy, postawy, gracji i siły” wybrana została Miss Igrzysk 1928. W tym samym roku wyszła za mąż za znanego dyplomatę, członka MKOL, przyszedłgo ministra skarbu płk Ignacego Matuszewskiego. W 1931 roku zakończyła uprawianie lekkoatletyki pozostając niepokonana w rzucie dyskiem, co do tej pory nie udało się żadnej zawodniczce. Rozwinęła swoje zainteresowa-

nia malarskie, a także wydała tomik poezji „Któregoś dnia” (1929). Grała znakomicie w tenisa ziemnego i startowała w rajdach samochodowych jako jedna z pierwszych w Polsce we własnym kabrioletcie marki Lancia.

Wybuch II wojny światowej spowodował nowe zadania dla pani ministrowej – tak powszechnie nazywanej – i dla jej męża. We wrześniu 1939 roku 80 ton złota zgromadzonego w skarbcu Banku Polskiego zostało w kilku autobusach przewiezione z Lublina przez Rumunię, następnie statkiem do Stambułu, pociągiem do Bejrutu i okrętem francuskiej marynarki do Tulonu, gdzie złoto ukryto. Jednym z pojazdów kierowała Halina Konopacka, która wraz z mężem z Francji przez Hiszpanię uciekła do USA. W czasie tej tułaczki zaginęła bagaż Konopackiej ze złotym medalem olimpijskim, który nigdy nie zo-



Lekkoatletka Halina Konopacka-Matuszewska prezentuje nagrodę puchar i dyplom którą otrzymała za najlepszy wynik sportowy 1928. Źródło NAC



Fot. ze zbiorów Narodowego Archiwum Centralnego

stał odnaleziony. Ratując skarb państwowy zyskała przydomek „Podwójnie złota Halina”.

Po śmierci męża ministra Ignacego Matuszewskiego w 1946 Konopacka ponownie wyszła za mąż za Jerzego Szczerbińskiego przebywając stale w USA, gdzie zmarła 28 stycznia 1989 roku w Daytona Beach na Florydzie. Została pochowana na cmentarzu bródnowskim w Warszawie.

Marszałek Józef Piłsudski goszcząc „złotą panią ministrową” miał powiedzieć: „Ach to Pani, gdzieś tam w Amsterdamie, zdobyła dla nas złoty medal! To dobrze, to dobrze! To służy Polsce!”

Zamach w Pensylwanii, czyli kula za demokrację



Marek Bober

WIDZIANE Z CHICAGO

■ Po zamachu Donald Trump powiedział: „Tylko Bóg zapobiegł temu, co nie do pomyślenia”. Ma rację, bo tylko pół centymetra dzieliło go, aby stracił życie i aby Ameryka znalazła się w dramatycznej sytuacji. W tym kraju przemoc w polityce i zamachy nie są zjawiskiem nieznanym. Jednak ostatni zamach był najpoważniejszą próbą zabicia prezydenta lub kandydata na prezydenta od czasu postrzelenia Ronalda Reagana w 1981 roku. W przeszłości zamordowano czterech prezydentów USA – Abrahama Lincolna, Jamesa Garfielda, Williama McKinleya i Johna Kennedy’ego. Trump szczęśliwie przeżył i rzeczywiście można śmiało mówić, że stało się to dzięki siłom nadprzyrodzonym.



W Butler w Pensylwanii, zginął 20-letni zamachowiec, także zastrzelony przez niego wcześniej jeden z uczestników wiecu, ponadto dwóch innych widzów zostało ciężko rannych. Donald Trump cudem uszedł z życiem. Fot. Donald J. Trump/Facebook

Kompromitacja Secret Service

Podczas wiecu w Grand Rapids w stanie Michigan tydzień po zamachu Trump powiedział z kolei: „Przyjąłem kulę za demokrację”. W tym przypadku też ma rację. Jego przeciwnicy polityczni i ideowi postanowili bowiem walczyć z nim nie poprzez argumenty i proces wyborczy, lecz drogą przemocy – próbowali wsadzić go za kratki i wzywali do zabójstwa.

Gdyby ochrona zadziałała zgodnie z procedurami, do tragedii w Bu-

tlar w zachodniej Pensylwanii w sobotę, 13 lipca, by nie doszło. Błędy Secret Service były aż nadto widoczne i do tej pory budzą zdziwienie. 20-letni zamachowiec, Thomas Matthew Crooks, został zauważony wcześniej, powinien być zneutralizowany i strzały by nie padły. Nie dziwi zatem, że pojawiają się przeróżne teorie, łącznie z tą, iż mieliśmy do czynienia z „inside job”, że zamachowcowi pomagał ktoś z wewnątrz. Z pewnością nigdy nie poznamy wiarygodnego motywu zamachu i wszel-

kich szczegółów. Być może był powiązany z jakąś ekstremistyczną organizacją, być może inspiracja przyszła z zagranicy, wydaje się jednak, że wszystko jest dużo prostsze.

Z wąsami Hitlera

Atmosfera nienawiści wokół Trumpa zrobiła się na tyle groźna, że ostrzeżenia o możliwym zamachu pojawiały się od dawna. Mówił o tym choćby ceniony dziennikarz, Tucker Carlson. ▶



► Prawie dekadę uprawiana jest już propaganda, mająca na celu odhumanizowanie Trumpa i przypisanie najgorszych cech. Łącznie z tą, że to współczesny Adolf Hitler. Przekaz „Trump to Hitler” był i jest wbijany do głów przez lata. Praktycznie każdy gospodarz telewizji MSNBC, w tym Nicolle Wallace, Joy Reid, Mehdi Hasan, Joe Scarborough i Jen Psaki, porównują Trumpa do Hitlera, podobnie jak liczni dziennikarze CNN, w tym Jake Tapper i Dana Bash. To samo dotyczy wielu innych „liberalnych” stacji telewizyjnych. Prześledźmy kolejne media, na przykład prasę. „Tak, porównywanie Trumpa do Hitlera jest w porządku” – napisano w „Washington Post”. „Wielkie kłamstwo Trumpa i Hitlera: czy tak zaczyna się pogrążanie Ameryki w totalitaryzmie?” – to pytanie z „Salonu”. „Fascynacja Trumpa Hitlerem jest złowieszczym echem lat trzydziestych” – pisał Bloomberg w kwietniu tego roku.

Zaledwie kilka dni temu magazyn „The New Republic” umieścił na okładce Trumpa z wąsami Hitlera, dając tytuł „Amerykański faszyzm”.

„Większość ludzi zgodzi się – mówi dziennikarz Piers Morgan – że Adolf Hitler powinien zostać zabity za to, co zrobił. Jeśli więc przypiszesz tę cechę Donaldowi Trumpowi i przekażesz do wypaczonego, obłąkanego i podatnego na wpływy młodego umysłu, to nie będzie całkowicie zaskakujące, że ludzie mogą chcieć wyeliminować nowego Hitlera”.

W tygodniu, w którym doszło do zamachu dziennikarka Christine Flowers prześledziła stacje telewizyjne. Píše: „W połączonych sieciach CNN, MSNBC, ABC, NBC i CBS co najmniej 127 razy naliczyłam, że Trumpa nazwano „zagrożeniem dla demokracji” lub odmianami tego wyrażenia. Zaczęłam robić notatki i zapisywać momenty, w których słowa te zostały wspomniane, po tym, jak przy stole w studio CNN używano tej terminologii w każdej audycji od siódmej do północy. To był scenariusz i wszyscy go wykorzystali. Pogubiony, chory umysł jest podatny na retorykę i propagandę. Dawanie im potrzebnego impulsu jest politycznym nadużyciem”.

Zagrożenie dla kraju i narodu

Centralnym elementem kampanii prezydenckiej Joe Bidena i w ogóle propagandy demokratów było przekonanie elektoratu o „egzystencjalnym” zagrożeniu dla narodu, jakie stanowi polityczny przeciwnik. Kreślą oni najmroczniejszy z możliwych obraz drugiej prezydentury Trumpa, używając wszystkich groźnych słów – dyktatura, rzeź, rasizm, koniec demokracji. Biden i jego towarzy-

sze ciągle powtarzają: „Donald Trump i republikanie MAGA (Make America Great Again) reprezentują ekstremizm, który zagraża podstawom naszej republiki”. Cynicznie charakteryzują Trumpa jako amerykańskiego Hitlera, który zakończy demokrację oraz bezkarnie zamorduje i uwięzi swoich krytyków, jeśli zostanie ponownie gospodarzem Białego Domu.

Zaledwie kilka godzin przed próbą zamachu Biden powiedział publiczności: „Co najważniejsze i mówię to z głębi serca, Trump stanowi zagrożenie dla tego narodu”. Z kolei pięć dni przed zamachem oznajmił, że „trzeba mieć Trumpa na muszce”. Senator Cory Booker wyrażał nieodpartą chęć uderzenia republikanina w twarz. Kongreswoman Maxine Waters chciała pobić ówczesnego prezydenta. Kongreswoman Rashida Tlaib nazwała go „skur...”.

Czy nie jest moralnym imperatywem zamordowanie kolejnego Hitlera, zamordowanie człowieka, który położy kres demokracji, jaką znamy, zamordowanie faszysty, który zapewni, że będą to ostatnie wybory prezydenckie w Ameryce?

Ben Carson, były sekretarz mieszkalnictwa i rozwoju miast, mówi: „Próbowali go doprowadzić do bankructwa. Próbowali go oczernić. Próbowali go uwięzić. Teraz próbowali go zabić, ale jeśli Bóg go chroni, nigdy im się to nie uda”. Republikański senator Tim Scott powiedział z kolei, że próba zamachu na Donaldzie Trumpa była „naturalnym skutkiem tego, że krajowe media w dalszym ciągu powtarzają, że były prezydent stanowi egzystencjalne zagrożenie dla amerykańskiej demokracji”.

Hollywood w awangardzie

Na uboczu nie pozostaje przeżarte ideologią „woke” i „cancel culture” środowisko celebrytów, z praktycznie całym Hollywood na czele. Trumpa traktowano następująco: uderzając go w twarz (Robert De Niro), obcinając głowę (Kathy Griffin, Marilyn Manson), dźgając nożem (sztuka Szekspira w Nowym Jorku), uderzając pałkami (Mickey Rourke), strzelając (Snoop Dogg), otruwając (Anthony Bourdain), zabijając w zamian za nagrodę (George Lopez), pożerano jego trupa (Pearl Jam), duszono (Larry Wilmore), wysadzano go w powietrze (Madonna, Moby), zrzucano go z klifu (Rosie O'Donnell), ogólnie zabijano (Johnny Depp, Big Sean) i zamęczano (Reid Hoffman: „Tak, żałuję, że nie zrobiłem z niego prawdziwego męczennika”). Piosenka i wideo rapera Snoop Dogga „Lavender” była tutaj najjaskrawszym przykładem wezwań do zabicia – wyko-

nawca po prostu strzela w głowę Trumpa z pistoletu.

Naprawdę zabraknie miejsca, gdyby chcieć wymienić haniebne wypowiedzi celebrytów dotyczące byłego prezydenta chociażby z jednego miesiąca. Było na nie polityczne przyzwolenie ze strony demokratów i mediów. Było na nie zapotrzebowanie ze strony środowisk liberalnych i radykalnej lewicy. Nikt nie poniósł konsekwencji. Znormalizowanie wezwań do przemocy i znormalizowanie języka nienawiści obciąża demokratów i media.

To diabeł, demon, wcielenie zła

Trumpa nie udało się powiązać z Kremlem i zrobić w „Russian collusion”, dzięki czemu miał wygrać wybory w 2016 roku. Nie udały się dwa impeachmenty, które miały wyeliminować go z polityki. Próbowano wykreślić go z list wyborczych na podstawie poprawki do Konstytucji jeszcze z czasów wojny secesyjnej, która zabrania ubiegania się o stanowiska osobom działającym na szkodę USA. A miał taką być za rzekome podżeganie do insurekcji w czasie słynnego „szturmu na Kapitol” w Waszyngtonie 6 stycznia 2021 roku. Przyszedł w końcu czas na procesy sądowe, które łącznie – bo o charakterze kryminalnym – miały go wsadzić do więzienia na 750 lat!

Nic z tego nie wyszło, „Orange Man” zyskiwał w sondażach i twardo zmierzał do Białego Domu. Nic nie wychodziło poza jednym: falą nienawiści bez żadnych barier. To człowiek pozbawiony człowieczeństwa, oczywiście rasista i homofob, gwałciec i przemocowiec, dyktator, który wszystkich przeciwników wsadzi za kratki, zakaże jakiegokolwiek aborcji i zlikwiduje swobody obywatelskie. To diabeł, demon, wcielenie zła. Najlepiej jakby go nie było. Odczłowieczenie dotyczyło nie tylko Trumpa, ale w ogóle konserwatystów, republikanów, zwolenników MAGA – czyli przynajmniej połowy narodu. Tutaj języka nienawiści używa się nie tylko do opisanego człowieka, czyli odhumanizowania, lecz przede wszystkim do podżegania do przemocy, do fizycznej eliminacji.

Ktoś musi strzelić

Kiedy większość ludzi powie, że te oskarżenia są głupie i machnie ręką, to jednak nie wszyscy tak postąpią. Nie ma możliwości, aby w kraju o populacji 350 milionów i z łatwym dostępem do broni nie znalazł się ktoś, kto wobec takich słów nie przejdzie obojętnie. Takich ludzi jak 20-latek z Pensylwanii jest zbyt wielu,

▶ podatnych na propagandę, na serio biorących słowa, że trzeba bronić Ameryki i demokracji, że trzeba pozbyć się nowego Hitlera. Jest zbyt wielu ludzi, którzy dostali od „elit” impuls do zabijania.

Politycy Partii Demokratycznej, radykalna lewica, korporacyjne media i koterie celebryckie mają krew rękach. W historii Ameryki nigdy nie było polityka, w tym byłego legalnie wybranego prezydenta, poddanego systematycznie tak wielkiemu poziomowi nienawiści i oczerziania. Z nim nie należy walczyć na po-

mysty, idee i kartką wyborczą, z nim należy walczyć przemocą, wyeliminować go. Ma on budzić egzystencjalny strach, bo to... nie jest człowiek, to monstrum.

Jak zauważył ekspert polityczny Ben Shapiro: „Kiedy będziesz powtarzać, że Ameryka zostanie dosłownie zniszczona, że to będą ostatnie wybory, że Donald Trump to najgorsza osoba, jaka kiedykolwiek żyła i należy go powstrzymać, ktoś to weźmie na poważnie i pomyśli sobie: Czy nie powinienem zrobić czegoś, aby powstrzymać Hitlera?”

Pewien młody człowiek podjął tę decyzję. Kosztowało go to życie i prawie – jak ktoś powiedział – kosztowało nasz naród duszę. Odpowiedzialność za zamach nie kończy się na nim. Obłąkani politycy, media, celebryci i przeżarte polityczną poprawnością „elity” mają krew na rękach, ponieważ pod sztandarem prawdy stworzyli, utrzymywali i podsycali środowiska, które skłoniły kogoś do popełnienia straszliwego aktu przemocy.

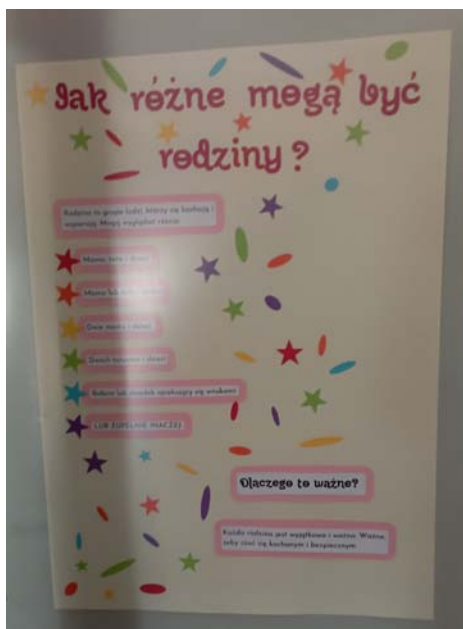
Biblioteka tęczęwego fałszu

TOMASZ BIAŁASZCZYK



▪ Część mieszkańców pięknego dolnośląskiego miasteczka z niesmakiem omija w wakacje miejscową bibliotekę. W księgozbiornie w Obornikach Śląskich trwa wystawa „Biblioteka równości”. Zdaniem wielu obywateli promuje się tam ideologię LGBT+ wśród dzieci.

W udostępnionym redakcji PJC oświadczeniu czytamy: *Treści wystawy podważają pojęcie rodziny i płci wynikające z nauk przyrodniczych i prawa. Ingerują w moralność kierującą życiem płciowym człowieka, gwałcą prawo rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami moralnymi. Narażają dzieci na poważny niepokój i demoralizację. Wystawa pozbawia też rodziny, które nie życzą sobie indoktrynacji dzieci w duchu LGBT+, równego dostępu do biblioteki.*



Umieszczając wystawę w bibliotece publicznej złamano zasadę nieingerowania organów publicznych w moralność społeczeństwa i zasadę praworządności.

Część mieszkańców żąda: przywrócenia stanu praworządności przez usunięcie tej wystawy. Oczekuje pisemnej odpowiedzi z wyjaśnieniem, jak do tego doszło i informacją o sposobie załatwienia sprawy. Apeluje o powstrzymanie

się w przyszłości od podobnej samowoli i wkraczania w wolności obywatelskie.

Zbierane są dodatkowo podpisy pod skargą na pracownika jednostki budżetowej gminy. Zdaniem oburzonych czytelników Anna Muszak, umieściła w kąciku dziecięcym Biblioteki Publicznej w Obornikach Śląskich wystawę „Biblioteka równości”, plus symbole, książeczki i plakaty LGBT+. Gwałcąc: praworządność, czyli działanie organów publicznych na podstawie i w granicach prawa (art. 7 Konstytucji RP) – prawo nie upoważnia gminy do promocji symboli i przekonań LGBT+.

Wykorzystywanie do tego biblioteki publicznej jest przejawem skrajnej samowoli twierdzą protestujący.

Zlekceważono: zakaz ingerowania instytucji publicznych w światopogląd społeczny (art 25 ust. 2 i art. 53 Konstytucji RP), a biblioteka publiczna wpaja czytelnikom światopogląd LGBT+. Zakłamuje: prawne pojęcie rodziny – opisane w Konstytucji oraz w Kodeksie Rodzinnym i Opiekuńczym. Rodzina opiera się na małżeństwie, rodzicielstwie, pokrewieństwie i powinowactwie; tymczasem wystawa określa jako „rodziny” dowolne związki, w tym homoseksualne.

Ominięto: prawo rodziców do wychowania moralnego dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, z uwzględnieniem stopnia dojrzałości dziecka (art. 48 ust. 1 i art. 53 ust. 3 Konstytucji RP) – wy-



► stawa wpaja dzieciom wizję rodziny, płci i życia seksualnego według przekonań LGBT+, niezgodną zarówno z etyką klasycystyczną, jak i wiedzą biologiczną.

Nie uszanowano: prawa każdego dziecka do równego dostępu do dóbr kultury (art. 6 ust. 1 Konstytucji RP) – indoktrynacja jest przemocą i aby się przed nią chronić, dziecko musi unikać biblioteki.

Zaburzono: kształtującą się umysłowość dziecka – przy użyciu środków manipulacji takich jak: rozmycie i zamiana pojęć, zaskarbianie sympatii i zaufania przez miły nastrój (kolorowy, wygodny kąciok dla młodego czytelnika), w którym podaje się dzieciom ideologiczne treści. Zmanipulowano: emocje dziecka – wprowadzając zamieszanie w postrzeganiu przez dzieci więzi rodzinnych. Wystawa naraża je na emocjonalną i psychiczną krzywdę.

Pod wpływem tych spisanych zarzutów odwiedziłem placówkę w Obornikach Śląskich. Wypożyczalnia zajmuje część budynku dworca kolejowego. Męsko-żeński personel nie wzbudził mojego zaufania. Nie miałem wrażenia, że spotykam się z ludźmi szukającymi w książkach prawdy, dobra i piękna. Na pamiątkę krótkiej wizyty w moich zbiorach znalazła się tęcza ulotka biblioteki i darmowa niebieska opaska na rękę z infantylnym tekstem: *Zawsze i wszędzie możesz wszystko.*



Być może za tą sentencją kryje się istota problemu. W życiu publicznym żarliwość ideologa, buta rewolucjonisty, fałszywa moralność, propagandowy biznes lub spryt drobnych cwaniaczków – wykorzystywane są do zmiany naszego świata na inny, raczej gorszy. Nie ma wstydu nieuctwa bo możesz wszystko, nie ma moralności bo możesz wszystko, nie ma szacunku dla życia bo możesz wszystko, nie ma szacunku dla człowieka bo możesz wszystko.



TRENODJA 12



Syn Jokebed i Amrama
Jak to głosi gminna fama
Wyratowan był on z rzeki
I legenda trwa przez wieki

Termutis spacerowała
I chłopca uratowała
Z kosza ujęła go w dłonie
Potem zasiadł on na tronie

Był to Mojżesz – jak wiadomo
Dziecięciem go wyłowiono
Bóg mu bardzo błogosławił
I prorokiem mężnym sprawił

Wielkich rzeczy zaś dokonał
Etiopczyków wnet pokonał
Sabę zdobył – ich stolicę
Poślubił Tarbis – dziewicę

Z córką króla Raguela
Miał Gersa i Elezara
Safora synów urodziła
I szczęśliwie długo żyła

Na Górze Synaj rzecz taka
Znak stanął – płonącego krzaka
Wiele było proroctw mitów
Cuda dla Izraelitów

Plagi zaś egipskie spadły
Dzieci pierwородne zmarły
Faraon wyraził zgodę
Aby Mojżesz ruszył w drogę

Pustynią Sin wędrowali
A że drogi tej nie znali
Długo po piaskach kluczyli
Wielokrotnie też błędzili

Ściągać kazał ich faraon
Wysłał po nich cały baon
Morze się wnet rozstało
I Egipcjan potopiło...

POSTSCRIPTUM
Lat czterdzieści wędrowali
Trud podróży poznawali
Ot historia wszystkim znana
Kanaan – ZIEMIA OBIECANA...



Podaj Dalej

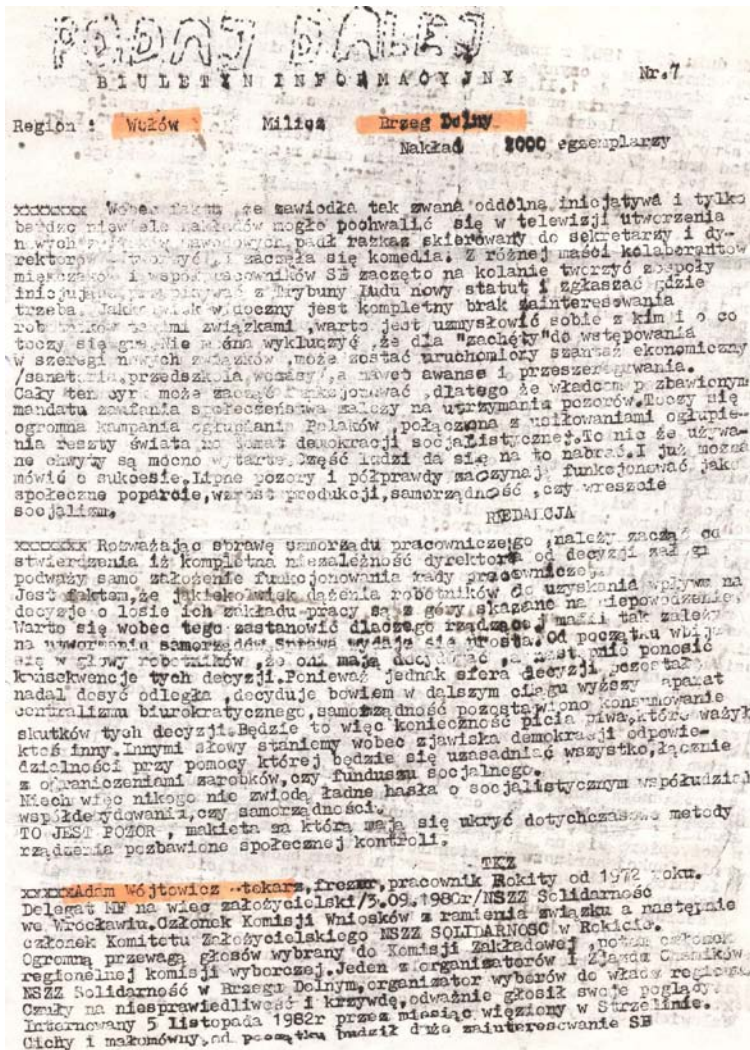
■ Lata 80. XX wieku były czasem, w których w Polsce pojawiło się co najmniej kilkanaście tysięcy drugoobiegowych druków. Mam oczywiście na myśli wydawnictwa wychodzące poza zasięgiem PRL cenzury. Czasami była to jednorazowa inicjatywa, częściej jednak ukazywały się nieregularne wydania, rozprowadzane wśród zaufanych osób. Stąd zasięg obiegu był ograniczony.

Jedną z takich inicjatyw wolnego słowa było piśmko „Podaj Dalej”.

Pismo „Podaj Dalej” – z podtytułem: „Biuletyn Informacyjny MKK NSZZ Solidarność”/„Biuletyn Informacyjny MKK NSZZ Solidarność Ziemi Milicko-Wołowskiej”/„Biuletyn Informacyjny Terenowej Komisji Koordynacyjnej NSZZ Solidarność” – było wydawane od września 1982 do września 1985 roku. Tytuł ukazywał się na przełomie w Brzegu Dolnym, Miliczu i Wołowie. Decyzja o powstaniu pisma pojawiła się na przełomie maja i czerwca 1982 roku. W spotkaniu, które odbyło się w Wilczkowie na Dolnym Śląsku, brali udział działacze podziemnej Solidarności: Henryk Strzyż, Ryszard Pendolski, Adam Wójtowicz, Anna i Władysław Dukietowie.

Osobliwie było powstanie tytułu. Jak podaje Henryk Strzyż, Anna Dukiet, częstu- jąc herbatą ze słowami „podaj dalej”, stała się „matką chrzestną” periodyku. Działacze przyjęli regułę, że dwa pierwsze numery zostaną wydane w Brzegu Dolnym ze względu na możliwości wykonania matrycy oraz dru- ku na sprzęcie, jaki Tymczasowa Komisja Zakładowa miała w Zakładach Chemicznych Rokita. Na jednym z kolejnych spotkań u Edwarda Ziętka przyjęto zasadę, że w stopce na pierwszym miejscu miano umieszczać nazwę miasta, w którym dany numer był drukowany, na drugim nazwę miasta, w którym będzie drukowany numer następny, na trzecim zaś nazwę miasta, w którym drukowany był numer poprzedni.

Ukazało się 28 numerów, wydawanych nieregularnie, o objętości 1–2 strony. Drukowano na powielaczu w nakładzie od 150 do 500 egzemplarzy. W Brzegu Dolnym drukowano m.in.



kiewicz, Marta Krasowska, Jan Krasowski, Władysław Białowas, Bogdan Lipowicz, Wiesław Fiszer, Piotr Bereza, Joanna Szulc-Drębkowska, Rafaela Szulc, Stanisław Zabłocki.

Materiały do poszczególnych numerów były przewożone przez Bienkiewicza, który pracował w PKS w Miliczu. On też przewoził wydrukowane numery do kolportażu. W Wołowie odbierał je Kaduszkiewicz, przekazując dalej m.in. do Brzegu Dolnego. Na łamach pisma podawano zarówno wiadomości lokalne, jak i okolicznościowe z okazji wydarzeń rocznicowych oraz przedruki z innych pism podziemnych, w tym z „Wiadomości Bieżących”, czy „Z Dnia na Dzień”.

Kolportażem zajmowali się zaufani działacze podziemnej Solidarności, np. w Miliczu był to jeden z listonoszy, który rozprowadzał „bibułę”, znaczki pocztowe i książki. Zasięg kolportażu obejmował Brzeg Dolny, Wołów, Milicz, Sułów, Krotoszyn oraz w niewielkich ilościach – Trzebnicę i Wrocław. Papier potrzebny do druku zdobywano w różny sposób, nie zawsze legalny, aby nie zwracać uwagi esbecji, która kontrolowała także papiernię pod kątem dystrybucji surowca. Nie zawsze takie kontrole były skuteczne, jak się okazuje. Dzięki „znajomym naszych znajomych” udawało się zdobyć potrzebny papier m.in. z piapierni w Malczycach.

W swoim zbiorze posiadam jeden egzemplarz „Podaj Dalej”, sygnowany wydaniem w Żmigrodzie. Nie udało mi się dotrzeć do inicjatora tego numeru, żaden z ówczesnych redaktorów pisma nie pamięta tego wydania. Dość ciekawe! No, ale na tym właśnie polega urok badań historycznych.

w altanie na działce Adama Wójtowicza oraz w prywatnych mieszkaniach, w Sułowie drukowano także w altanie na działce Bronisława Bienkiewicza. Numery sygnowane z Wołowa drukowano w bibliotece szkolnej w Starym Wołowie oraz w Wojewódzkim Szpitalu dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w Lubiążu. W redagowaniu, druku i kolportażu pisma uczestniczyli: W. Dukiet, R. Pendolski, Barbara Strzyż, H. Strzyż, A. Wójtowicz, Krystyna Olszewska, Helena Janicka, Adam Grabowski, Waldemar Miernik, Józef Cendrowski, Ryszard Wasielewski, B. Bienkiewicz, Janusz Wierzowiecki, Irena i Jerzy Próchniakowie, Ferdynand Kadusz-